SOBOTA
Nr 43 87-04-11 Cena 15 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKOW

NA SZCZYCIE ANNAPURNY

Szczegóły na str. 5

W Warszawie i okolicach odbierany jest program radzieckiej TV satelitarnej

POLITYKA, FILM, NAUKA, SPORT...

Pierwsze koty za płoty telewizji satelitarnej w Polsce mamy już za sobą! Od 26 marca mieszkańcy Warszawy mogą oglądać na ekranach swych telewizorów radziecką „jedynkę" – czyli program centralny ZSRR. Emitowany w Moskwie, trafia poprzez satelitę telekomunikacyjnego „Horyzont" do odbiornika znajdującego się w warszawskiej telewizji, skąd przekazywany jest do nadajnika umieszczonego na wierzchołku Pałacu Kultury i Nauki. Nadawany stąd obraz można odbierać w promieniu od 20 do 30 kilometrów, w zależności od ukształtowania terenu. Niepotrzebne są tu jakiekolwiek specjalne – a przy tym bardzo drogie – anteny satelitarne, wystarczą takie, które umożliwiają odbiór programu na 51 kanale. Wiele osób moskiewską „jedynkę" ogląda też z powodzeniem dzięki antenom przystosowanym do odbioru programu pierwszego naszej telewizji na 27 kanale.

Bardzo wcześnie rano warszawiacy mogą wykonywać ćwiczenia gimnastyczne podpowiadane przez radzieckich instruktorów, później odsapnąć i odprężyć się przy oglądaniu filmu, a następnie wysłuchać wiadomości „Wremi". „Wremia" to najpopularniejszy program informacyjny radzieckiej telewizji (odpowiednik naszego dziennika telewizyjnego) emitowany i odbierany na całym terytorium ZSRR. Uwzględniając różnice czasu, przygotowuje się jego specjalne wersje dla mieszkańców Azji Środkowej, Syberii, Dalekiego Wschodu i Północy. Nie brakuje również programów sportowych, popularnonaukowych, rozrywkowych, filmów fabularnych oraz publicystyki społeczno-politycznej. Radziecki program centralny nadaje dziennie wiele audycji, których łączny czas emisji wynosi średnio 150 godzin. Dodajmy, że to co teraz można odbierać w Warszawie, jest tak zwaną czystą retransmisją, a więc bez tłumaczenia. Dla znających rosyjski jest to wręcz doskonała okazja do poddania swoich umiejętności surowemu egzaminowi i szlifowania formy. A dla tych, którzy na lekcjach nie uważali, myśląc o niebieskich migdałach – zachęta do nadrobienia zaległości...

SŁAWOMIR W. MALINOWSKI

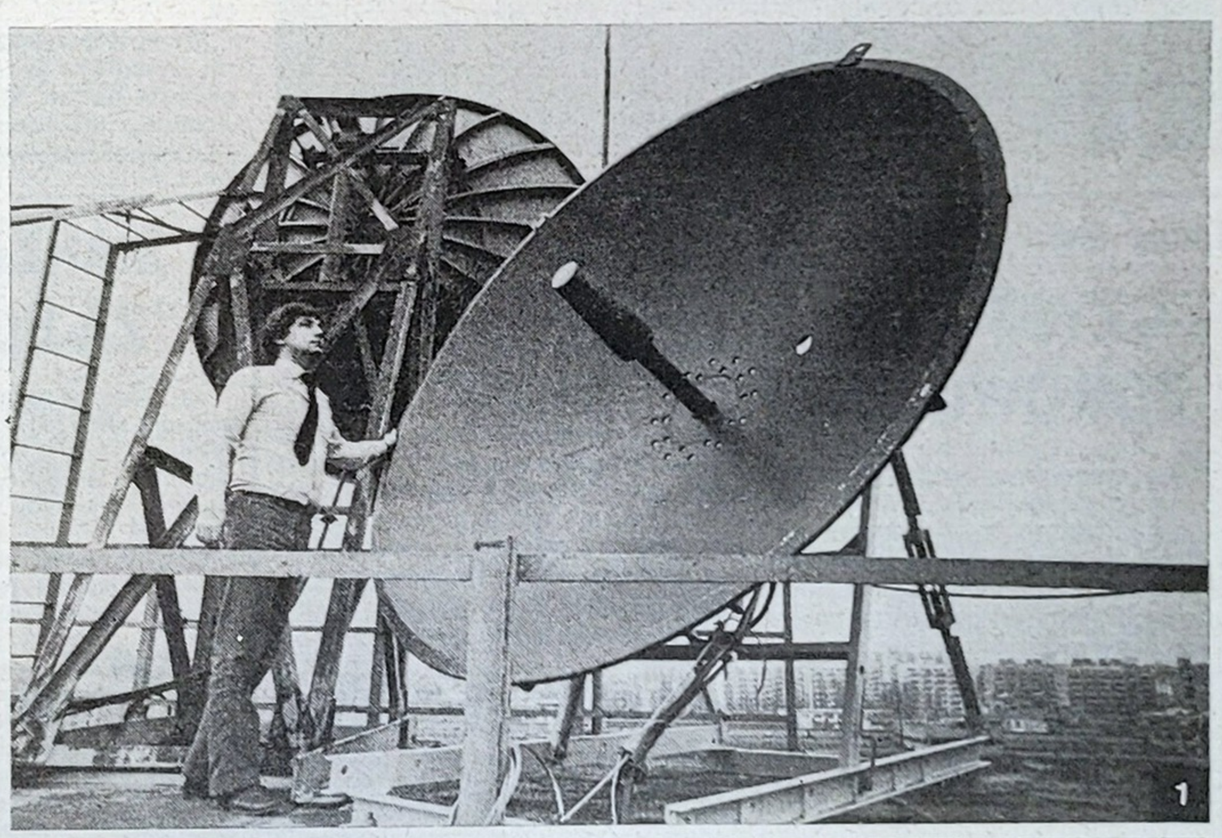

1

2

Na zdjęciach:

1. Tak wygląda paraboliczna antena odbiorcza, dzięki której obraz i dźwięk z radzieckiego satelity geostacjonarnego trafia do stacji Linii Radiowych przy ulicy Woronicza w Warszawie. Stamtąd wędruje do urządzeń, które widzicie na drugim zdjęciu

2. A to już Stacja Linii Radiowych przy Woronicza. Sygnał TV jest tu przyjmowany przez radziecki odbiornik systemu „Moskwa 3" i po odpowiedniej obróbce kierowany – również linią radiową – do Pałacu Kultury i Nauki. Tam, na 27 piętrze, zainstalowany jest nowy 2 kW nadajnik produkcji warszawskich zakładów „Zarat", pracujący na 51 kanale. Sygnał tu odebrany – po wzmocnieniu – emitowany jest z wys. 225 m wspólnie z I programem TVP (27 kanał)

Fot. **CAF**

Kram szeroko otwarty! Dziś specjalna oferta dla dziewczynek. Firma Zielony Zajączek namawia do produkcji świątecznych akcentów... świątecznego stołu.

Propozycja tylko dla osób pewnie władających igłą!

SERWETKA - PISANKA

Serwetka to po prostu kawałek jednobarwnego materiału ozdobiony kolorową, różnoraką pasmanterią: wstążeczkami, krajkami, siutarzem.

OCIEPLACZ - KURKA

Zabawne czapeczki na świąteczne jajka (w wielu domach bywają takie duże ocieplacze na czajniki i dzbanki). „Kurka" składa się z dwu warstw – warstwa spodnia to flanelka. Całość zszyta ozdobnym, grubym ściegiem dzierganym. Ozdoby to aplikacje, ewentualnie koraliki.

Rysunki: **Magda Jasny**

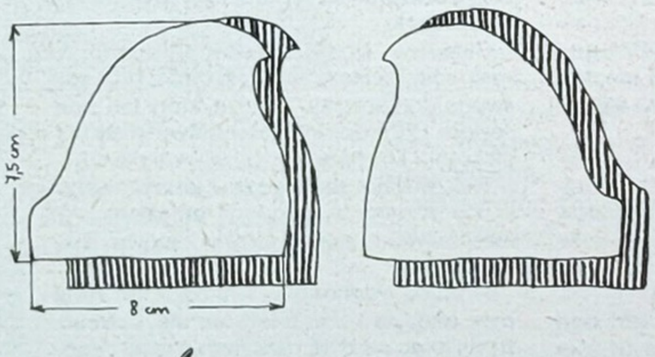

Ostry dyżur

Kosmetyczka prawdę ci powie...

Rozmowa z panią Lilianą Descours, kosmetyczką Warszawskiej Spółdzielni Kosmetycznej „Izis"

– Na wiosnę każda dziewczyna i każdy chłopak chcieliby wyglądać olśniewająco, a tu, jak na złość lustro mówi im co innego. Co trzeba zrobić, aby nie mieć tzw. wiosennych kłopotów z cerą?

– O swoim wyglądzie powinno się myśleć przez cały rok, a nie tylko na wiosnę, tym bardziej, że w okresie dojrzewania cera z normalnej staje się bardzo szybko tłusta, pojawiają się zaskórniki, a nawet ropne wypryski. Wtedy poza systematyczną pielęgnacją należy się prawidłowo odżywiać. Polecam gruboziarniste pieczywo, kefir, biały ser, dużo świeżych jarzyn i owoców, ograniczyć spożywanie węglowodanów (słodycze, ciasta, kluski itp.) i zrezygnować z potraw ciężkostrawnych i tłustych. Mając cerę tłustą, a szczególnie z nasilającym się łojotokiem, trzeba wykluczyć czekoladę, kakao i ostre przyprawy.

Dobrym sposobem na szybszą przemianę materii jest jedzenie sałat jarzynowych przed głównym posiłkiem. Przyda się też dużo więcej ruchu, gimnastyki, spacerów, przebywanie na świeżym powietrzu i słońcu. Efekty są: utrata nadmiernych kilogramów, a więc zgrabniejsza sylwetka i lepsze samopoczucie.

– Wiele młodych dziewcząt i chłopców narzeka na brzydką cerę – wypryski, zaskórniki itp. Często upatrują w tym przyczynę swych niepowodzeń, głównie „sercowych".

– Ja to rozumiem – jeszcze wieczorem wszystko było w porządku, gładkie czoło i nos, a rano o zgrozo – pojawiły się wypryski. Co tu robić, przecież to właśnie dziś ma odbyć się spotkanie?!

Takiego lekarstwa, na „raz, dwa, trzy..." niestety nie ma, ale jeśli systematycznie pielęgnuje się cerę, to własne odbicie w lustrze nie przeraża.

Przede wszystkim więc trzeba dbać o higienę – o czystość twarzy i rąk. Skórę tłustą należy myć dwa razy dziennie miękką ciepłą wodą i łagodnym mydłem, a potem spłukiwać chłodniejszą. Skóry tłuste dobrze znoszą wodę i mydło. Zdarzają się jednak i bardzo wrażliwsze. Wrażliwość objawia się uczuciem ściągania po myciu, pieczenia, swędzenia lub zaczerwienieniem. W takim wypadku należy zmywać twarz płatkami owsianymi, rano i wieczorem (garść płatków owsianych zalać np. litrem wrzącej wody i pozostawić do wystygnięcia). Dobre rezultaty przynosi również przemywanie cery tłustej i łojotokowej „Acnosanem" (do nabycia w aptekach).

Tworzeniu się zaskórników można zapobiec przez codzienne mycie miejsc o nasilonym łojotoku przez 5–10 min. miękką szczoteczką i dobrym mydłem. Powoduje to otwarcie ujść gruczołów łojowych i usunięcie zalegającego w nich łoju. Po umyciu należy spłukać skórę zimną wodą.

– Spotyka się również trądzik z głębokimi naciekami ropnymi i ropnymi torbielami – co wtedy zrobić?

– Przede wszystkim pójść do lekarza, bo do powstawania głębokich nacieków ropnych w trądziku przyczynia się w wielu wypadkach zaniedbanie leczenia w okresie, gdy objawy nie były jeszcze bardzo nasilone. Leczenie takiego trądziku jest trudne i długotrwałe, ale trzeba zrobić wszystko, żeby uniknąć brzydkich blizn. Prowadzić je może tylko lekarz, a kosmetyczka wykonuje zabiegi przez niego zalecone, jak np. oczyszczenie skóry, naświetlanie lampą kwarcową, czy innymi lampami.

Szczególnie niebezpieczne jest wyciskanie zaskórników na twarzy i to w dodatku brudnymi palcami. Może wtedy dojść do głębszego wniknięcia ropnych bakterii i powikłań chorobowych. Często przychodzą do mnie młodzi ludzie, którzy nieumiejętnie usiłowali czyścić swoją skórę i mają potem jeszcze większe z nią kłopoty...

– Czy dużo młodzieży przychodzi do gabinetu kosmetycznego z prośbą o poradę?

– Dużą liczbę moich klientów stanowią właśnie młode dziewczyny i chłopcy. Przychodzą nie tylko po radę, ale i na konkretny zabieg – oczyszczenie skóry twarzy, a nawet i pleców. Nikogo to już nie przeraża i nie krępuje, że na jednym fotelu siedzi dziewczyna, a na drugim chłopak.

– Może pewnie przerazić sam koszt wizyty w gabinecie kosmetycznym...

– Jeśli chce się ładnie i estetycznie wyglądać, to czasami warto zrezygnować np. z pójścia do dyskoteki, czy z kupna jakiegoś drobiazgu itp. Poza tym, nie wszyscy młodzi ludzie muszą przychodzić na zabieg co miesiąc, przy mniej zanieczyszczonej cerze może się to odbywać rzadziej. Nie wszyscy również wiedzą, że porad udziela się bezpłatnie.

– Znajomy, 16-letni chłopak, po pierwszej wizycie u kosmetyczki stwierdził, że wygląda gorzej niż poprzednio i już więcej postanowił nie chodzić.

– Rzeczywiście, zaraz po wizycie u kosmetyczki nie wygląda się zbyt ładnie, ale już po kilku dniach widać efekt. Jeśli chce się wyglądać ładnie, np. w sobotę, to do kosmetyczki należy udać się w poniedziałek.

– Dorosłe czasopisma często zamieszczają porady kosmetyczne, a w nich różnego rodzaju maseczki – czy młodzież może stosować maseczki?

– Oczywiście, tylko muszą być odpowiednio dobrane do rodzaju cery. Dla cer tłustych, zanieczyszczonych z rozszerzonymi porami i trądzikowych polecam maseczkę z ubitego na sztywną pianę białka oraz maseczkę z drożdży – 2 dag drożdży należy rozprowadzić letnim mlekiem na papkę, po czym nałożyć dokładnie na twarz na 15–20 minut. Zmyć gorącą wodą, a spłukać zimną, stosować 2 razy w tygodniu.

Rozmawiała:
HANNA KIJANOWSKA–RÓZGA

Dość tego wstydu!

CZYSTO (?), ZDROWO (?).

Czuję nieprzyjemny zapach. Wchodzę do małego pomieszczenia, w którym nieprzyjemnie pachnie. Po lewej stronie dwie wiecznie popękane, pełne wody i odpadków umywalki. Dwie, bo po trzeciej został tylko kurek. Woda jest lodowata i w zimie, i latem. Nad drzwiami do drugiego pomieszczenia napis: „papier toaletowy u p.woźnej". Ale kto by biegał przez pół szkoły do pani woźnej po papier? A gdyby ktoś się odważył, niejednokrotnie wróciłby z pustymi rękami. Bo albo nie ma pani woźnej, albo papieru.

Idę dalej: po prawej stronie ściana zapisana najnowszymi wiadomościami: kto kogo kocha, kim kto jest itp. Po lewej zaś pięć kabin. Pierwsza przeznaczona jest dla maluchów, gdyż żadna starsza dziewczyna nie wejdzie do kabiny, w której drzwiach znajduje się okienna szyba. Druga przeznaczona jest dla tych, którzy widzą w ciemnościach, bo w drzwiach nie ma okna. W trzeciej kabinie drzwi nigdy się nie domykają. Najporządniejsza jest czwarta kabina, w której drzwi są jako takie, lecz co kilka minut włącza się samoczynnie spłuczka, która niejednokrotnie moczy... no, tak. Piąta kabina uważana jest za palarnię, za nią znajduje się kąt, w którym jest pełno wody, gdyż mieściła się tu umywalka; ktoś ją odkręcił. Z olbrzymiego okna roztacza się wspaniały widok na pojemniki ze śmieciami. Ubikacja dla dziewcząt połączona jest z ubikacją męską niemałą dziurą w ścianie.

Taki jest obraz WC dla uczniów w Szkole Podstawowej nr 4 w Kołobrzegu.

Wspomnieć warto o ubikacji dla nauczycieli, w której na pewno zawsze jest ciepła woda, papier i do której drzwi są zamknięte. Klucz ma każdy nauczyciel. Więc po co martwić się o ucznia?

A najciekawsze jest to, że nad drzwiami do ubikacji wisi napis: „NASZA SZKOŁA CZYSTA I ZDROWA!!!

„Lustratorka"

MARZANNA ZA BURTĄ

Na pokładzie spacerowego statku „Roza Weneda" kłębił się podekscytowany tłum. Nadeszła przecież wiosna, co prawda obecna tego ranka w Szczecinie tylko w kalendarzu; dzień gdy obyczaj każe utopić Marzannę.

Cumy zrzucono na Plaży Mieleńskiej. Nastąpiło huczne, przy użyciu rakietnic, przywitanie przez Leśnego Dziada i Skrzaty:

– Dzisiaj odprawiamy sąd nad długą i okrutną zimą, która naraziła nas na choroby i inne uciążliwości oraz dała się we znaki zwierzętom i ptactwu!

Leśny Dziad pragnąc, by jego oskarżenia były słyszane przez wszystkich, wynalazł w ostępach... tubę. W asyście Skrzatów grupki rozpierzchły się na poszukiwanie zwiastunów wiosny.

– Mamy! My jesteśmy pierwsi!

Mimo prószącego śniegu i lekkiego mrozu spostrzegawczy szperacze szybko przybiegli ze swymi znaleziskami: kępkami trawy i mchu oraz gałązką obsypaną pączkami listków.

Przekrzykując rozbawione i rozśpiewane towarzystwo, Leśny Dziad ogłosił konkurs na najładniejszą Marzannę. Wybór nie należał do najłatwiejszych.

„Miss Marzanną '87" została w końcu ta, którą ubrano w strój marynarski i czapkę z napisem „Liga Morska".

– To był pomysł, który wziął się stąd, że należymy do Ligi Morskiej i dlatego też wymyśliliśmy Marzannę z akcentem morskim – powiedzieli zwycięzcy konkursu, członkowie koła LM ze Szkoły Podstawowej nr 8 w Szczecinie i ich opiekunka, pani Irmina Smerczyńska.

Później nad uparcie nie chcącą odejść zimą odprawiono sąd. Leśny Dziad odczytał sentencję wyroku:

– Za swe straszne przewinienia: nadmiar mrozu i wiele innych utrapień, za kiepskie figle w rodzaju porywistych wiatrów, dżdżystych dni, przemoczonych butów, zakatarzonych nosów i za inne przewinienia skazujemy zimę na zapomnienie i utopienie! Wyrok jest prawomocny i nie ulega odwołaniu! Wykonany zostanie natychmiast!

Skazana, przeczuwająca grożącą jej karę, zdążyła jeszcze skorzystać z pomocy swego poplecznika – Mrozu, który tak skuł Jezioro Dąbskie, że... niemożliwe stało się utopienie Marzanny.

Nie zważając na pogodę, z lasu wynurzyła się Wiosna z gaikiem i orszakiem. W swej mowie tronowej wiosna zapowiedziała:

– Mimo trudności w tym roku, bo zima była okrutna i zła, udało mi się dotrzeć. Będę więc od dziś rozszerzać swe panowanie, w czym pomogą mi moi poddani: marzec, kwiecień, maj i częściowo czerwiec. Obiecuję, że w maju przyjdzie czas na przyjaźń i miłość!

Do radosnego kwiecistego korowodu wiosny dołączyli wszyscy witający.

Wiosnę witano jeszcze długo. Wreszcie nadszedł czas powrotu. Jedną z ocalałych Marzann wyrzucono za burtę statku. Nikt nie ogłaszał alarmu szalupowego.

Płyń zimo do morza!

Marzenna Głuchowska

BIURO POD

● Poszukuję zdjęć, różnych informacji oraz tekstów piosenek zespołu Joy Division. W zamian oferuję informacje o różnych innych zespołach, **Iwona Michałowska, ul. Galileusza 1a/1, 60–161 Poznań;** ● Poszukuję komiksów z serii „Kajko i Kokosz" oprócz następujących odcinków: „Kajko i Kokosz – Wielki Turniej", „Kajko i Kokosz – Szkoła latania", „Kajko i Kokosz – Szranki i konkury 2". Za pozostałe tytuły odstąpię liczne komiksy z serii „Tytus, Romek i A'Tomek" „Kapitan Żbik" i inne, a także pocztówki i książeczki „Żółtego Tygrysa". **Jacek Wroński, ul. Gen. Z. Berlinga 25 m. 67, 15–814 Białystok:** ● Pilnie poszukuję nr. 20 „Świata Młodych" z 17.II.87 r. Zapłacę podwójną cenę, **Anna Zalewska 07-437 Łyse – Rudne;** ● Poszukuję książek: Z. Biernackiego – „Mój rasowy pies" oraz L. Smyczyńskiego – „Psy, rasy i wychowanie". Książki te pragnę wymienić na następujące pozycje: A. Fiedler – „Zwierzęta mojego życia", A.Bahdaj – „Telemach w dżinsach" i kilka egzemplarzy „Konia polskiego" nr 1, 2, 4, 5, 6 z 1985 r. nr 4 z 1984 r. nr 2, 3 z 1978 r., **Marta Mika, ul. Boczna 10/55, 41-500 Chorzów;** ● Poszukuję zdjęć, wywiadów i informacji dotyczących Brigitte Bardot. W zamian oferuję fotografie innych aktorów oraz zdjęcia różnych zespołów muzycznych, **Anna Grabowska, ul. Pilotów 17b/26, 80–270 Gdańsk;**

● Poszukuję bardzo pilnie książek: „Zemsta" – A. Fredry, „Kamienie na szaniec" – A. Kamińskiego oraz komiksów z serii „Kajko i Kokosz". W zamian odstąpię A... B... C..." – E. Orzeszkowej, „Lato leśnych ludzi" część I i II, „Syntezę" M. Wojtyszki, **Aneta Skobodzińska, Krasne Folwarczne 2, 19–122 Jasionówka.**

Zaprosili nas...

● Kuratorium Oświaty i Wychowania na XIII Ogólnopolski Konkurs Dziecięcy Piosenki i Tańca „Barwy Przyjaźni" w Gorzowie Wielkopolskim.

● Działający przy Spółdzielni Mieszkaniowej Bródno Spółdzielczy Dom Kultury „Lira" na wystawę ryb, roślin egzotycznych i kaktusów pt. „Woda i Pustynia" (ul. Łojewska 3, Warszawa).

● Bułgarski Ośrodek Kultury i Informacji na wernisaż wystawy rysunku satyrycznego Borysa Dimowskiego.

Dziękujemy

REDAKCYJNA POCZTA

„Brzydal" i ta reszta...

Obecnie mam 16 lat i chodzę do I klasy ZSZ w Chorzowie. Dopiero teraz wiem, co to znaczy zgrana klasa. Ale nie o tym chcę pisać, wrócę do przeszłości, by przed ewentualnymi błędami przestrzec innych...

Od pierwszej do czwartej klasy szkoły podstawowej byłem dość dobrym uczniem. Ale nasza klasa to było kompletne zero. Nikt nigdy nawet nie powiedział na powitanie czy ot, tak sobie, „cześć".

Po bardzo długiej chorobie musiałem powtarzać V klasę. Z kolei ta klasa wykończyła mnie, zrobiła ze mnie nic.

Cały czas traktowali mnie jak intruza. Gdy coś nabroili, od nauczycieli obrywałem zawsze ja. Oskarżali mnie przed nauczycielami, donosili. Za to skarżenie kilka razy uderzyłem dziewczynę i pobiłem chłopaków, choć taki agresywny nigdy nie byłem.

W tej klasie liczyła się tylko uroda. Utworzyła się mała grupka dziewcząt i chłopców – tzw. „pięknisiów". „Brzydale" (wśród nich byłem i ja) nie mieli prawa głosu.

Próbowałem pocieszać „tych brzydszych", zrobić rewolucję, stłumić tę grupę „pięknych", ale nic nie wychodziło. Zacząłem wagarować, żeby tylko nie patrzeć na ich twarze. Po kilku tygodniach zjawiła się u mnie Danusia, która pomogła mi w nadrobieniu, zaległych lekcji i znów zacząłem chodzić do szkoły. Chodziłem, uczyłem się, ale nienawiść pozostała we mnie aż do końca VIII klasy. Trochę tylko pomogła mi zmiana wychowawcy w VII klasie. Ta nauczycielka pogodziła mnie z chłopakami, z dziewczętami nie zdołała. Moją jedyną przyjaciółką była i pozostała jedynie Danka S.

Piotrek (Max)

Co mnie czeka?

Nie wiem dlaczego, ale jak pomyślę o tym co mnie czeka, płakać mi się chce. Nie chodzi tu o sprawdzian czy coś w tym rodzaju, ale o to, że jak wyjdę z VIII klasy, to koniec z moim dzieciństwem. Chciałabym być wciąż małą beztroską dziewczynką...

Ewa

Czy koleżanka postąpiła dobrze?

Do napisania tego listu skłonił mnie przykry incydent. Byłam wraz z trzema koleżankami w antykwariacie i oglądaliśmy książki. W pewnej chwili zauważyłam słownik: „Zasady polskiej pisowni i interpunkcji". Zamówiłam go sobie i powiedziałam koleżankom, że kupię go następnego dnia, gdyż wtedy nie miałam przy sobie pieniędzy. Wyszłyśmy z antykwariatu i poszłyśmy na przystanek autobusowy.

Jedna z moich koleżanek, Aneta J. spotkała na przystanku swoją mamę, wzięła od niej pieniądze i kupiła ten słownik. A kiedy zwróciłam jej uwagę, że to ja go sobie zamówiłam odpowiedziała: „To Wasze zamawianie jest głupie!" (miała na myśli mnie i dwie pozostałe koleżanki). Czy to było fair? Zawiodłam się na Anecie. A co sądzą o tym czytelnicy? Napiszcie.

„Elle"

OD REDAKCJI: 17-letni Adam uczeń LO z Tarnowa. Prenumerujesz „Świat Młodych" (piszesz, że od wielu lat), a dlaczego nie podałeś adresu? Jako stały i „stary" czytelnik powinieneś wiedzieć, że u nas obowiązuje znana i uznana przez czytelników zasada, że anonimów nie drukujemy... Twoje krytyczne uwagi o „Redakcyjnej Poczcie" nie są rewelacyjne, ale gdybyś podał adres, to chętnie byśmy Ci odpisali... (bs)

Tematy z Polski

Jak zabrać się na ten pociąg?

Od dłuższego już czasu nasze myślenie o gospodarce kojarzy się przede wszystkim z dwoma wyrazami: „kryzys" i „reforma". Pierwszy z nich strasznie uwiera, drugi budzi nadzieję. Kryzys, w oczach tak zwanego przeciętnego obywatela, to brak albo niedostatek towarów, ale także to zbyt wysoka – jak na jego kieszeń – cena. To kartki na mięso i czekanie przez długie minuty na autobus. To... zresztą każdy wie, co jeszcze. Reforma zaś – to nadzieja, że wszystko wreszcie się zmieni, że fabryki będą produkowały tyle, ile nam trzeba i to, co nam trzeba. I że na to będzie nas stać. Reforma to nadzieja, że gdy człowiek naprawdę się przyłoży do pracy, to będzie mógł bez trudu zrobić potrzebne zakupy.

O polskim kryzysie napisano już i powiedziano miliony słów. Mądrych i nieco głupszych. Jego przyczyny zostały dobrze zgłębione. Najgorszym jego objawem jest tzw. „nierównowaga rynkowa", to jest sytuacja, kiedy podaż (to co jest do sprzedania) jest mniejsza od popytu (a więc zapotrzebowania ludzi na dany towar). Ale dlaczego tak jest? Ano, dlatego, że szwankuje zaopatrzenie materiałowe, że ludzie pracują niewydajnie, że fabryki są przestarzałe, że organizacja procesów gospodarczych jest niedobra, że zbyt dużo jest biurokracji i tzw. ogniw pośrednich między producentem i konsumentem. Z drugiej strony płaci się prawie tak samo dobrym i złym pracownikom, płaci się często więcej niż warta jest rzeczywiście ich praca. Rosną więc ceny, gonią je podwyżki płac (nie zawsze oparte o wzrost efektów pracy), dochodzi do tego marnotrawienie wielu owoców pracy. I mamy to, co mamy.

Jak wiecie, od początku 1982 roku obowiązuje w Polsce nowy system gospodarowania, potocznie nazwany reformą. Jego istotą są tzw. „3 S", czyli samorządność, samofinansowanie i samodzielność przedsiębiorstw. Samodzielne przedsiębiorstwa muszą gospodarować tak, by ich wyroby ludzie kupowali, czyli tak, by sprawdziły się na rynku. Kłopot polega na tym, że „głodny" rynek nie jest dostatecznym miernikiem i lustrem pracy przedsiębiorstw, a ceny nie odzwierciedlają rzeczywistej wartości towarów.

Przez te kilka lat udało się wszak doprowadzić do sytuacji, kiedy zaopatrzenie rynku w podstawowe wyroby jest w miarę normalne, przeciętne. Ale dalej – jak się okazało – iść jest już bardzo trudno. Dotychczas reformie zawdzięczamy bardzo wiele. Być może wszystko, co na razie było możliwe. Jednak jest to mniej niż oczekujemy. Wielu reforma kojarzy się tylko ze wzrostem cen, z kolejkami. Jest to niesłuszne, gdyż akurat te zjawiska są skutkiem nie reformy, ale niedoskonałości jej mechanizmów. Lecz właśnie teraz nadchodzi czas, by reforma *„pokazała wszystko, na co ją stać"*. By stała się nieodwracalna, albo, jak to ujął W. Jaruzelski, by przekroczyła próg *„masy krytycznej"*.

Plan udoskonalenia instrumentów gospodarczych wszedł do potocznej świadomości pod określeniem **„II etapu reformy"**. Jest to plan trudny, bo wymaga wielkich zmian, także naszych postaw wobec pracy, wymaga szybkiego oduczenia się tego, czego przez tyle lat się uczyliśmy, a mianowicie: *„że państwo zawsze da"*, *„że skoro mamy jednakowe żołądki, to powinniśmy mieć jednakowe portfele"*, że nie musi istnieć widoczny związek pomiędzy jakością naszej pracy a jej finansowymi rezultatami. Wymaga on także przebudowy wielu struktur naszej gospodarki. Nie będziemy wdawali się tu w szczegóły ekonomiczno-organizacyjne, na czym te strukturalne zmiany mają polegać, poprzestańmy na stwierdzeniu, że chodzi o zwiększenie bezpośredniej odpowiedzialności każdego za wyniki gospodarcze, za efekty pracy.

O konieczności rozpoczęcia II etapu reformy mówiono od dawna, szczególnie głośno i mocno na ubiegłorocznym X Zjeździe PZPR. III Plenum KC PZPR skonkretyzowało ten zamiar. Ostatnie tygodnie natomiast przyniosły pierwsze konkretne decyzje. Są one efektem następującego rozumowania: **rozwój może przybrać tempo szybsze lub wolniejsze; szybsze wyjście na gospodarczą prostą to jednak większy wysiłek społeczeństwa, podczas gdy wolniejszy rozwój, co prawda, opóźni ostateczne wyjście z kryzysu, ale być może, wiąże się z mniejszymi wyrzeczeniami.** To ostatnie rozwiązanie ma jednak zasadniczą wadę: łączy się z nim zniechęcenie, zmęczenie ludzi. Następuje bowiem wówczas najgorsze: przyzwyczajenie się do kryzysu, do nienormalności. „Tak być musi" – mówimy drepcząc drobnymi kroczkami z opuszczoną głową. I nie wierzymy w zmianę, bo zmienia się mało. Zbyt mało. Zmieniają się tylko ceny, a bałagan, który jest prawdziwym powodem wysokich cen, zostaje.

Zatem rzucono hasło: szybciej! Niedawna uchwała Biura Politycznego KC ujęła to tak: *„Stoimy obecnie przed nowymi wyzwaniami, jakie dyktują potrzeby gospodarcze i oczekiwania społeczne, troska o właściwe tempo postępu naukowo-technicznego i cywilizacyjnego. Społeczeństwo oczekuje zmian głębszych i szybszych (...) Nadszedł czas przystąpienia do radykalnych przeobrażeń w życiu gospodarczym. Potrzebne są zasadnicze zmiany"*.

Ta decyzja nie może jednak być tylko sprawą rządu, partii, organizacji politycznych, słowem tzw. decydentów politycznych. To musi być decyzja nas wszystkich. Dorosłych dziś i tych, którzy będą dorośli jutro. Czyli też Was. I dorośle trzeba też postawić pewną zasadniczą kwestię: ów szybszy ruch do przodu pociągnie za sobą decyzje niepopularne, niełatwe. Chodzi tu o dwie konkretne sprawy: urealnienie cen, czyli w praktyce ich wzrost, i urealnienie zarobków, czyli płacenie tylko za wyniki pracy. Jednak urealnienie cen nie oznacza, że mają one pokryć marnotrawstwo pracy i materiałów, koszty istnienia niepotrzebnych instytucji, nadmiernego, zbędnego zatrudnienia. To niejednokrotnie w wymiarze osobistym może oznaczać utratę dobrej „fuchy" dla niejednego. Ale tak trzeba. Urealnienie zaś płac oznacza, że niektórzy będą zarabiali bardzo dużo, inni ledwo, ledwo. I znów w konkretnych sytuacjach to może być związane z osobistymi dramatami, niezadowoleniem. Z drugiej strony otwiera się szansa dla ambitnych, dynamicznych, najlepszych.

Jednak II etap reformy, zaostrzenie kryteriów pracy i płacy jest osadzony w konkretnych warunkach państwa socjalistycznego. Dlatego jego wprowadzenie musi odbywać się z pełnym poszanowaniem zasad sprawiedliwości społecznej, przy społecznej zgodzie na większe tempo, ale też przy zapewnieniu ochrony poziomu życia społeczeństwa, zwłaszcza tych jego grup, które nie z własnej winy znajdują się w trudnej sytuacji. Ostatnie wydarzenia dowiodły, że w sprawach tych należycie funkcjonują instytucje demokracji socjalistycznej, choćby w taki sposób, że zbyt radykalne decyzje są oprotestowywane m.in. przez związki zawodowe. Chodzi przecież o to, żeby przyspieszenie nie urwało nam głowy, ale też, by zbyt wolne tempo nie opóźniło zabrania się do pociągu pod nazwą „normalna gospodarka", zmierzającego w kierunku Świata.

Znajdujemy się, być może, w momencie, o którym pisać będą historycy. Albo jako o szansie wykorzystanej, albo o szansie straconej. Treść tego zapisu w dziejach zależy od nas samych.

Wojciech Jaruzelski skomentował to tak: **„Determinacja i skuteczność działania zadecyduje o losach indywidualnych, o sytuacji polskich rodzin i całego społeczeństwa, o awansie kraju".**

JAN ORGELBRAND

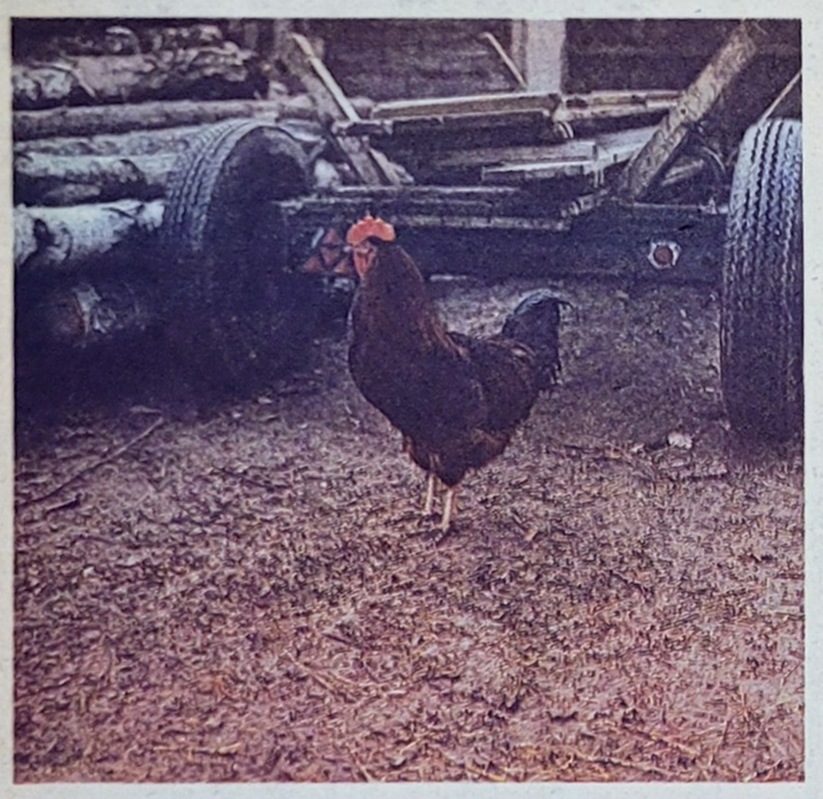

Najcenniejszy z banków

KURA POD OCHRONĄ, TO NIE PRIMA-APRILIS!

Niejeden czytelnik, przeczytawszy ten artykuł, pomyśli pewnie: czy pan z nas aby nie kpi, drogi autorze?

Wiadomo, że pod ochroną znajdują się rzadkie, ginące orły i sokoły, bociany czarne i dropie, że dla zwierząt łownych myśliwi wyznaczają okresy ochronne, że tworzy się specjalne rezerwaty, w których te najbardziej zagrożone gatunki znajdują szansę przetrwania. Czy jednak trzeba chronić istoty tak pospolite, jak kury domowe, które przecież znakomicie się rozmnażają i są hodowane na skalę przemysłową?

Otóż całkiem serio zapewniam: kurom i innym przedstawicielom drobiu, a ściślej – pewnym ich rasom i rodom – też ochrona jest potrzebna. I są już w naszym kraju miejsca, które można by nazwać kurzymi, gęsimi czy kaczymi rezerwatami.

REZERWAT CZY... REZERWA?

Mgr inż. Jerzy Będkowski, kierownik Działu Hodowli Drobiu w Centralnej Stacji Hodowli Zwierząt z siedzibą w Poznaniu obstaje przy tym drugim słowie. Bowiem fachowcom znane są tylko takie określenia, jak „rezerwa genetyczna" lub „stado zachowawcze". Owszem, przyznaje mgr Będkowski, o tych miejscach, gdzie się ową rezerwę czy też stada zachowawcze przechowuje, można by żartobliwie powiedzieć: rezerwaty drobiu.

Ale pora wyjaśnić w czym rzecz. O jaką tu „ochronę" i „rezerwę" chodzi i czemu ma ona służyć? Trzeba jednak zacząć od wyjaśnienia: czym właściwie jest hodowla?

Niby każdy wie: hodować żywą istotę – to trzymać ją w domu, w zagrodzie itp. – dla przyjemności lub dla celów użytkowych – karmić, rozmnażać. Otóż fachowcy takie postępowanie nazywają co najwyżej chowem. **Hodowla natomiast – to praca mająca na celu udoskonalenie istniejącego gatunku, rasy itp.**

Takie udoskonalenie nie jest oczywiście sztuką dla sztuki. Chodzi o wydobycie z tego, jak się niezbyt pięknie mówi – materiału hodowlanego – maksimum użytecznych dla nas cech. W przypadku drobiu najlepszą – jak mówią specjaliści – nieśność, wylęgowość, najkorzystniejszą masę ciała osobników, zdrowotność itp., itp. Wymaga to pilnej obserwacji i doskonałej znajomości stada.

Hodowlę prowadzi się w specjalnych fermach tzw. zarodowych i opiera się na ostrej selekcji. Z 2–3 tys. osobników liczącej populacji do dalszej hodowli pozostawia się 15-20%; wśród nich są najprzedniejsze kury i koguty. Nasuwa się pytanie: co z tą resztą stada, która do dalszej hodowli nie wejdzie? A co z rodami, ba, nawet całymi rasami, które „wypadły", nie sprawdziły się? Pod nóż?

Nie! Ich likwidacja byłaby niewybaczalnym błędem! Chociaż – dawniej często popełnianym...

Tymczasem każdy gatunek, rasa, ród, bo – osobnik ma swój unikalny zespół cech, zapisany w genach. Możemy zeń korzystać – np. krzyżując osobniki różnych rodów i osiągając z czasem nowe, wartościowsze.

Może się też np. okazać, że jakiś „skreślony" dla hodowli ród ma jedną jedyną cenną cechę, ale dotąd nie wykorzystywaną, np. odporność na jakąś chorobę drobiu. Wtedy tym rodem na nowo warto będzie się zająć i włączyć do prac hodowlanych, uzyskując nowe, odporne rody.

Toteż od ponad 10 lat tworzy się u nas owe wspomniane na wstępie stada zachowawcze i stada rezerwy genetycznej. Do tych pierwszych weszły m.in. całe, nieprzydatne już dla przemysłowej hodowli, rasy kur: zielononóżka, żółtonóżka, polbar... Stado zachowawcze tworzy się bowiem z ras rodzimego pochodzenia. Takie stado, w przypadku kur liczących 500 samic i 50 samców zostawia się w spokoju, dbając przede wszystkim o jego przetrwanie.

Inaczej ze stadem rezerwy hodowlanej. Do niego wchodzą zwierzęta, których co prawda w danej chwili nie opłaca się chować dla mięsa czy jaj, ale w programach hodowlanych – jak mówi definicja PAN-owska – są „szczególnie przydatnymi". Są to więc zwierzęta mające znaczenie dla przyszłości stad drobiu, dla rozwoju hodowli. Stada rezerwy genetycznej zawierają 3–4 razy tyle osobników, co zachowawcze. Tu i ówdzie istnieją specjalne fermy dla utrzymania rezerwy.

PRZEMYT JAJ? OWSZEM, ALE NIE U NAS...

Tworzenie rezerw genetycznych nie jest już w świecie nowością. W krajach zachodnich od dawna hodowcy je tworzą, a zarazem zazdrośnie strzegą przed konkurentami garnituru genetycznego, jakiego dorobili się w toku hodowli. Cechy wyhodowanych zwierząt są otoczone najściślejszą tajemnicą. I oto zdarza się, że wynajęty człowiek jedzie do konkurencyjnej fermy, nieraz het, za ocean i stara się cichcem zdobyć informacje, wyhodowane pisklęta czy jaja. Doprawdy, nawet przemyt kilku kurzych jajek do odległego kraju może się opłacać, o ile są to jajka jakiegoś specjalnie wartościowego rodu czy rasy.

Na Zachodzie cena zwykłego piskląca kurzego, tzw. towarowego ma się do ceny piskląca hodowlanego, a więc mającego znaczenie dla rozwoju swego rodu – jak 1:30, a nawet 1:50. To sprawia, że w stosunku do zwykłego chowu ta hodowla jest bardzo opłacalna, a tym samym jest opłacalne tworzenie rezerwy genetycznej – bo to część działalności hodowlanej. U nas ten stosunek wypada dużo mniej korzystnie, jak 1:3, czasem 1:4. W tej sytuacji tworzenie stad zachowawczych i rezerwy genetycznej jest finansowane centralnie ze specjalnego funduszu postępu biologicznego Ministerstwa Rolnictwa. Hodowca rezerwy genetycznej kur (są to prawie wyłącznie fermy państwowe) otrzymuje z funduszu równowartość pieniężną 0,5 kwintala pszenicy na sztukę drobiu rocznie. Przy centralnym finansowaniu i takim sterowaniu tym interesem nie ma oczywiście mowy o tajemnicach między fermami, podkradaniu sobie danych czy wręcz wykradaniu jajek, czy młodych ptaków. Własnością fermy jest kura czy kaczka, ale nie ich geny. I jeżeli hodowca z ferm X ma, dajmy na to, kłopoty z uzyskaniem jaj o odpowiedniej masie – zwraca się do Centralnej Stacji Hodowli Drobiu, a ta kieruje go do hodowcy, mającego właśnie rody o takich cechach, które pomogą zgłaszającemu się poprawić własności jaj drogą zabiegów hodowlanych.

DOKOŃCZENIE NA STR.7

Fot. **autora**

5 POMNIKI PRZYRODY W POLSCE

SEKWOJA W GLINNEJ

Samorząd do tablicy

ZAPYTAJCIE SAMYCH SIEBIE!

Temat stał się ostatnio bardzo popularny, szczególnie przy okazji rozmów na temat Kodeksu Ucznia. Właśnie samorządowi szkolnemu poświęcono w nim sporo miejsca, jako że w założeniu ma to być ciało powołane między innymi do tego, by stać na straży postanowień owego Kodeksu. Czy straż trzymana jest czujnie?

O samorządzie szkolnym powiedziano już chyba wszystko – jaki jest, jaki być powinien. Nie tak dawno na łamach „Świata Młodych" można było znaleźć porady fachowca, jakim niewątpliwie jest pan doc. Julian Radziewicz (przypomnijmy – podpisywał się imionami: Julian Konstanty).

Wiadomo więc, jakie są prawa i obowiązki „kierowników" szkolnej społeczności, w zasadzie bez trudu potrafi je wymienić każdy uczeń. Sposoby na dobre działanie samorządu też są z grubsza znane. Cóż więc pozostaje innego, jak zebrać na początku roku szkolnego odpowiednich ludzi, podzielić się pracą i działać ku chwale szkoły i własnej, wprowadzając w życie teorię.

Samorządy działają – to fakt. W zasadzie w każdej szkole ich przedstawiciele wykorzystywani są do prowadzenia apeli, przypominania o konieczności noszenia kapci i tarcz, wręczania kwiatów z rozmaitych okazji.

Czy robią coś poza tym?

W Osiecznej (woj. leszczyńskie) prawie nic nie dzieje się bez wiedzy i udziału samorządu. Jego członkowie podjęli się organizacji całego szkolnego życia i radzą sobie z tym doskonale. Wycieczki, imprezy sportowe, akcje społeczne. Jedna z samorządowych agend – spółdzielnia uczniowska, z prowadzonych przez siebie sklepików i innej działalności, którą można by nazwać gospodarczą, wypracowuje co roku zyski, jakich nie powstydziłby się niejeden zakład produkcyjny. Można się tam nauczyć, jak niemal z niczego uzyskuje się konkretne wartości: własnym sumptem wybudowano kilka obiektów, m.in. przechowalnię warzyw i owoców, urządzono też korytarze szkolne i wnętrza sal lekcyjnych. Pieniądze – dzięki rozsądnemu gospodarowaniu, szacunek dla pracy – dzięki widocznym wszędzie jej efektom, wreszcie sympatia mieszkańców – to także korzyści z dobrze prowadzonej działalności, korzyści prawdziwe, choć pisanie o nich przypominać może niektórym świąteczną laurkę.

Podobnych, dobrze działających samorządów jest zapewne więcej. W czasie podróży dziennikarskich można je było spotkać w Subkowach (Gdańskie), Kramsku, Sośnie (Bydgoskie) czy w warszawskiej szkole – molochu nr 309 na Ursynowie. To tam właśnie, gdy budowlani zostawili po sobie coś w rodzaju krajobrazu księżycowego, wszyscy: uczniowie, nauczyciele i rodzice wzięli się do pracy przy porządkowaniu miejsca, gdzie miały nie tylko odbywać się lekcje, lecz także toczyć normalne szkolne życie. Nie byłby to żaden dowód na dobrą działalność samorządu, gdyby nie fakt, że obecnie jego przedstawiciele czuwają nad utrzymaniem porządku, zajmują się prowadzeniem sklepików, działalnością w SKS-sie i organizowaniem mnóstwa imprez ze Świętem Szkoły (niewątpliwie ICH SZKOŁY) na czele.

Pora przystąpić do szukania dziury w całym. Czy z samorządami jest rzeczywiście tak cacy? Niestety – nie jest. Zbyt wielu ludziom po prostu nie chce się wychylać poza wspomniane już szkolne apele-komunikaty i kwiatki. Ile jest szkół, w których członkami samorządu zostają szkolne fajtłapy? Wybiera się ich ot tak, dla zgrywy, bo przecież ktoś musi zostać wybrany. Nauczyciele nie ingerują, bo zaraz podnosi się krzyk, że ogranicza się demokrację, swobody uczniowskie. Potem zaś ci wybrani, choćby byli nie wiadomo jak pomysłowi i pracowici, choćby nawet stanęli na głowach to i tak niczego nie zdziałają, bo wyborcy „zabiją śmiechem" każdą, nawet najbardziej ciekawą propozycję. Dla nich będzie się liczyło przede wszystkim (lub wyłącznie) wstawiennictwo u nauczyciela matematyki, by przełożył klasówkę lub wysłanie delegacji do dyrektora z prośbą, by skrócono lekcje, bo ... O, wtedy szkolni przedstawiciele są bardzo potrzebni! Przecież samorząd to uczniowscy przedstawiciele, więc niech się wykażą! Czyż nie tak właśnie traktuje się go w wielu szkołach?

Weźmy rzecz z innej strony. Na pytanie: „co zrobiliście?" następuje wyliczanka: wycieczka, konkurs, piętnaście uroczystych apeli, kilka spotkań dyskotek – koniec. Niby dobrze, bo przecież młodzi ludzie byli aktywni na forum szkoły. Widoczni i – nieszkodliwi. Nie naprzykrzali się niewygodnymi pytaniami i inicjatywami ani kolegom, ani nauczycielom. Nikomu nie wytykano błędów, złej woli, lenistwa. Obie strony pracowały nie wchodząc sobie w drogę. A dlaczego nie zażądano od dyrekcji, by spowodowała wyłożenie papieru toaletowego w ubikacjach, naprawę cieknących pisuarów, muszli czy kranów? Gdzie wstawiono się za uczniem krzywdzonym przez nauczyciela? Kto odważył się publicznie skrytykować panią od polskiego, która na lekcjach wyzywa od najgorszych? Komu przyszło do głowy by interweniować, gdy pani kucharka ze stołówki szkolnej tą samą ręką, którą przed chwilą wycierała podłogę brudną szmatą, nakłada surówkę na talerz z obiadem? Czy wreszcie ktoś zdobył się na zaproponowanie akcji sprzątnięcia szkoły w dniu wolnym od zajęć? Drobiazgi? Zgoda, ale czy one przypadkiem nie wpływają na jakość szkolnego życia? Przecież samorząd to (podobno) przedstawiciel uczniów w rozmowach z dyrekcją. Czemu więc tak często milczy, gdy trzeba głośno mówić o wielu sprawach, ba, wręcz domagać się tego czy owego? Czemu milczy, gdy potrzebne jest wykonanie przez uczniów jakiejś pracy społecznej, ot sprzątnięcia szatni czy owej nieszczęsnej ubikacji w zastępstwie chorej woźnej? To właśnie byłaby inicjatywa z serii tych wyśmiewanych, więc po co ją proponować?

Czy naprawdę nie warto? A kto spróbował?

Działalność w samorządzie szkolnym wymaga nie tylko pomysłowości i energii. Ważna jest także (kto wie, czy nie przede wszystkim?) odwaga. Trzeba umieć zebrać siły i chęci, by głośno mówić o wszystkim co złe, niezależnie od tego, czy zło spowodowali dorośli, czy też kolega z ławki. Niby każdy o tym wie, gdy jednak przychodzi do działania – te oczywiste prawdy gdzieś znikają.

Czy więc bez odwagi pozwalającej wypowiedzieć głośno własne zdanie można być odpowiedzialnym za losy innych ludzi? Członkowie samorządu taką odpowiedzialność biorą na siebie.

Na początku wspomniałem, że chyba każdy uczeń jest w stanie wymienić prawa i obowiązki przedstawicieli szkolnego samorządu. Szczególnie o prawach można by rozprawiać godzinami. Nasuwa się jednak pytanie, czy rzeczywiście wszystko jest tak dobrze znane i oczywiste?

Zapytajcie samych siebie, bo może właśnie przed sobą łatwiej jest przyznać się do ewentualnego błędu?

JAROSŁAW MACHOWIAK

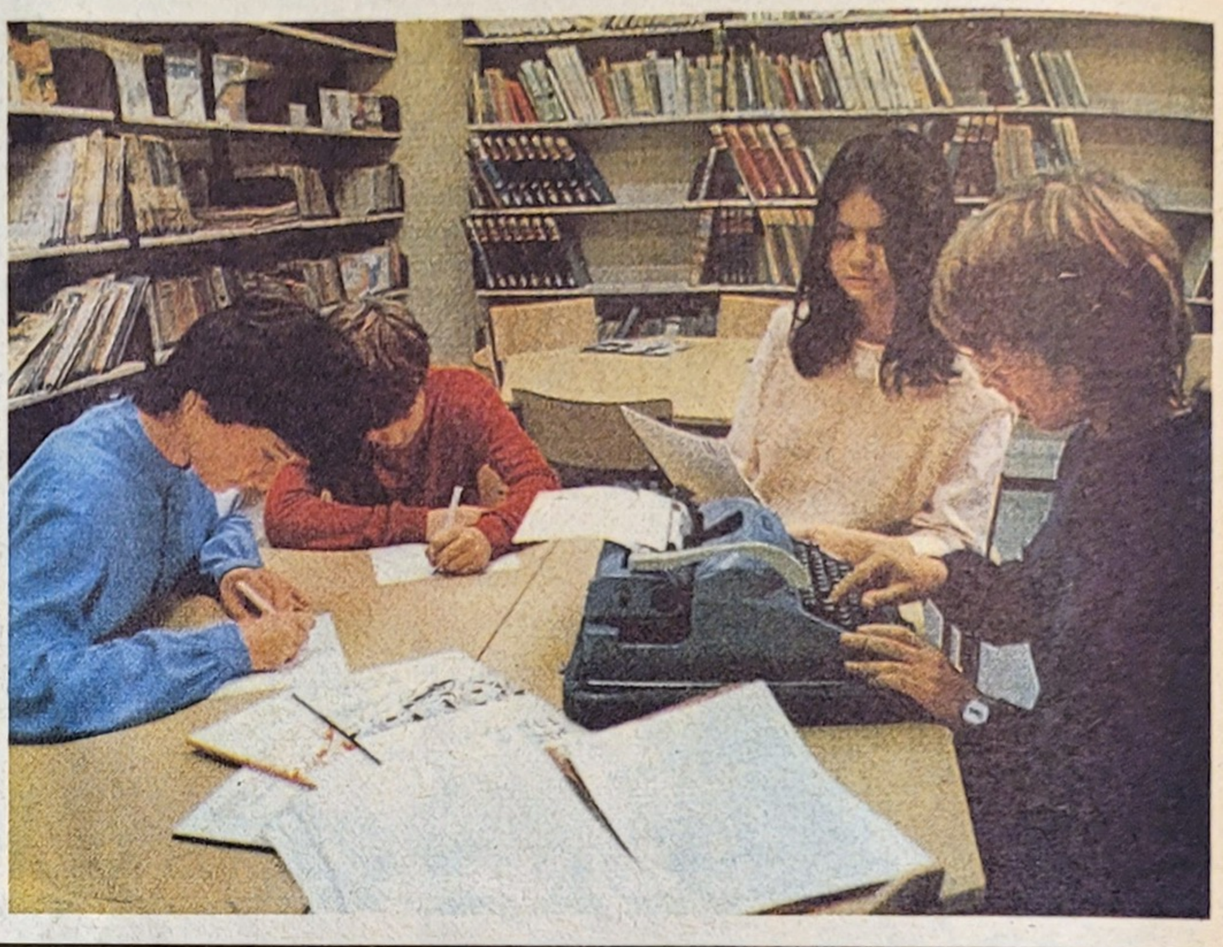

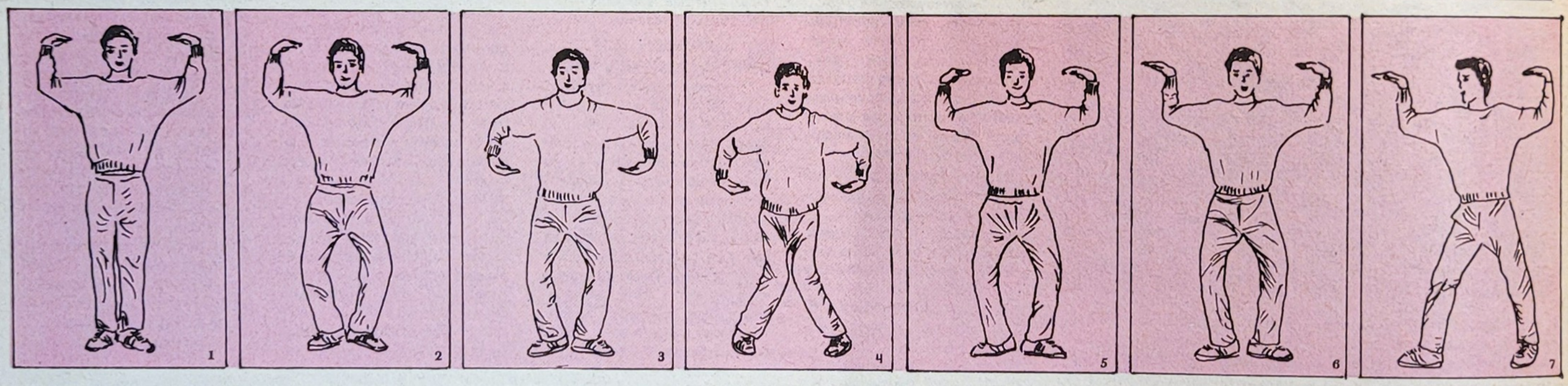

Ziemia szczecińska stwarza wyjątkowo dogodne warunki drzewom, zwłaszcza tym wymagającym nieco łagodniejszego klimatu. Zarazem – tym, które znoszą klimat surowszy też nie jest tutaj źle. W sumie – dzięki dość ciepłemu w skali rocznej klimatowi rośnie tu na ogół więcej gatunków drzew, niż gdzie indziej w Polsce. Przejawia się to m.in. bogactwem pomnikowych drzew. Rosną tu dość liczne, chronione jako pomniki, a przynajmniej takiej ochrony godne, dęby, lipy, wiązy, cisy. Tu i ówdzie niektóre z drzew wymienionych gatunków tworzą zabytkowe aleje, też nieraz uznane za pomniki przyrody. Wśród drzew nie brak tzw. matecznych, które przetrwały wszelkie niedogodności klimatu, a mimo to nadal wydają nasiona. Mogą więc przyczynić się do wyrastania drzew tak samo odpornych, a więc bardzo wartościowych. Na Pomorzu Zachodnim dobre warunki mają też krzewy, np. zimozielony bluszcz, czy znana ze swych orzeszków leszczyna. Oba osiągają tu taki wiek i takie rozmiary, że bywają uznawane za pomniki przyrody.

Jest też wreszcie ziemia szczecińska azylem dla szeregu drzew obcego pochodzenia. Chodzi zwłaszcza o gatunki nawykłe do cieplejszego klimatu, niż nasz. Ale na tym skrawku naszej ziemi także im powodzi się nieźle. Do tego stopnia, że niektóre osiągają pomnikowe rozmiary. Są wśród nich drzewa liściaste, jak platan tulipanowiec oraz iglaste – choina kanadyjska, daglezja, żywotnik (czyli tuja) cypryśnik, no i największa chyba osobliwość – sekwoja olbrzymia.

Koło miejscowości Glinna, nie opodal Gryfina, rośnie uznana za pomnik sekwoja mająca 30 m wzrostu i 3 m obwodu. Wobec starych sekwoi, rosnących na kontynencie amerykańskim, jest to maleństwo, ale na tle naszych drzew robi wrażenie olbrzyma. Cóż, jest jeszcze młodziutka, liczy sobie ok. 80 lat. Tymczasem stare sekwoje, żyjące ponad tysiąc lat, osiągają średnicę pnia 6 – 9 m i wzrost 100 m! **(tok)**

Jeśli wklejasz serię do zeszytu – pokryj klejem tylko to miejsce

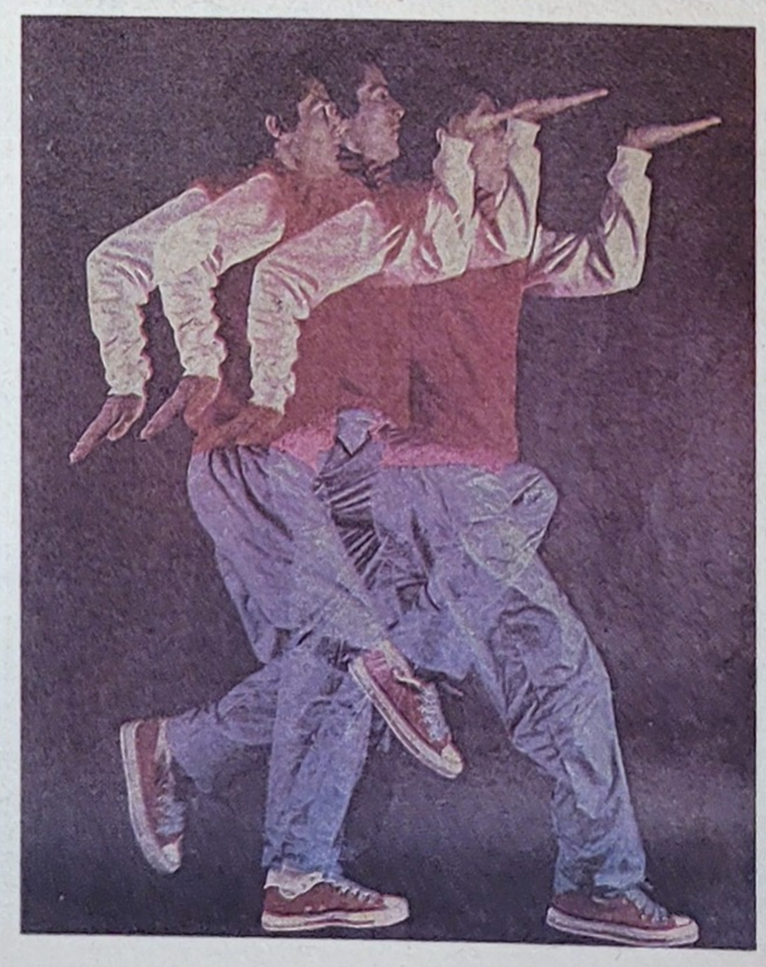

Break dance – to nie jest trudne

IX KING TUT *(czyt. king tut)* KRÓL TUT

1. Stań prosto, stopy trzymaj razem. Ramiona podnieś do góry, palce dłoni skieruj w kierunku głowy.

2. Zegnij kolana, nogi i ręce trzymaj nadal w tej samej pozycji.

3. Przedramię prawej i lewej ręki opuść do dołu, tak aby łokcie pozostały na tej samej wysokości.

4. Rozstaw nogi, piętami na zewnątrz, kolana trzymaj razem.

5. Ustaw stopy znów razem. Ręce podnieś tak jak w pozycji wyjściowej (rys. 1).

6. Przekręć dłoń prawej ręki w prawo.

7. Przekręć głowę i prawą stopę w prawo.

NA SZCZYCIE ANNAPURNY

Wyprawa polskich alpinistów na dziesiątą pod względem wysokości górę Ziemi – **Annapurnę** (8 091 m n.p.m.) zakończyła się pełnym powodzeniem. We wtorek, 3 lutego o godzinie 16.00 na szczycie stanęli – **Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer.**

Zanim jednak wyprawa doszła do skutku, przed alpinistami spiętrzyły się trudności, których pokonywanie było wcale nie łatwiejsze niż zdobywanie góry. Zaraz po przyjeździe do stolicy Nepalu – Katmandu okazało się, że ekspedycja stoi wobec braku stosownego zezwolenia na wejście na Annapurnę. Tej przeszkody w żaden sposób nie można było ominąć. By nie tracić cennego czasu kierownik – Jerzy Kukuczka zarządził wymarsz **Artura Hajzera, Michała Tokarzewskiego i Ryszarda Warecklego** wraz z karawaną tragarzy do podnóża góry. Sam zaś z **Wandą Rutkiewicz i Krzysztofem Wielickim** przez trzy dni dokonywali cudów w Ministerstwie Turystyki Nepalu, aby uzyskać zezwolenie, co się w końcu udało. Z przydzielonym oficerem łącznikowym ruszyli w drogę, by po tygodniu forsownego marszu dogonić poprzedzającą ich karawanę.

Po spotkaniu już wspólnie dokonali wyboru drogi na szczyt. Szefowi wyprawy marzyła się południowa ściana Annapurny, ale po analizie sytuacji zarzucił ten projekt. Zimą bowiem – jak wynikało ze sprawozdań siedmiu poprzednich wypraw – południowa ściana jest praktycznie nie do zdobycia. Głęboki śnieg zawsze udaremniał ten zamiar. Pozostała więc droga pierwszych zdobywców – Francuzów którzy w 1950 roku północną ścianą wspinali się na wierzchołek.

W niedzielę 18 stycznia pierwsza grupa tragarzy dotarła do bazy na wysokości 4 200 m n.p.m. i tu założyła obozowisko. Najlepiej zaaklimatyzowani: Wanda Rutkiewicz, Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer właściwie „z marszu" ruszyli na wysokość 6500 m n.p.m., gdzie założyli obóz trzeci. Druga grupa z Krzysztofem Wielickim i Ryszardem Wareckim w tym samym czasie dotarła na wysokość 5 600 m – n.p.m. zakładając obóz drugi. Wszystko to działo się w dniach od 23–25 stycznia. Zmiana kolejności zakładania obozów, bardzo rzadko praktykowana przez alpinistów, była w tym przypadku uzasadniona. Liczył się czas, bowiem sezon zimowy w Himalajach Wysokich trwa tylko do 15 lutego. Po „złapaniu oddechu" w bazie piątka alpinistów założyła obóz pierwszy na wysokości 4900 m n.p.m.

Kolejne dni upłynęły na zakładaniu lin poręczowych. Objuczeni 28-kilogramowymi plecakami zawierającymi namioty, śpiwory, haki i śruby lodowe, liny poręczowe i asekuracyjne, kuchenki gazowe, odzież i żywność dochodzili do obozu trzeciego. Po drodze pokonywali bardzo trudne partie najeżone lodowcowymi serakami. W nocy przeżyli chwile grozy. Odrywające się od skał kamienie podziurawiły namioty jak sito. W sobotę 31 stycznia dotarli do wysokości 6 800 m n.p.m. i założyli obóz czwarty. Noc upłynęła jak zwykle na tych wysokościach. Temperatura spadła poniżej –40°C, a huraganowy wiatr nie pozwalał zasnąć. Z tego obozu Jerzy Kukuczka i Artur Hajzer zaatakowali szczyt. Przedtem Krzysztof Wielicki zrobił zdjęcie dwójce szturmowej. Sam zaś z Wandą Rutkiewicz zszedł do bazy. I wówczas zaczęły się kłopoty z pogodą. We mgle i śniegu Kukuczka z Hajzerem dotarli do wysokości 7 400 m n.p.m. Zakładając obóz piąty, udało się wykopać w lodzie specjalną platformę pod namiot. Na szczęście. Następnego dnia, czynność ta okazałaby się niemożliwa do wykonania.

W nocy 3 lutego o godzinie 2.00 rozpoczęli przygotowania do szturmu. Samo rozmrażanie butów trwało około pięciu godzin. Po wyjściu z namiotu owionął ich mroźny wiatr. Mimo fatalnych warunków atmosferycznych zdecydowali się iść dalej. Dla wszelkiej pewności połączyli się jednak z bazą, skąd otrzymali wiadomość, że nad szczytem unoszą się chmury. Widoczność pogarszała się z minuty na minutę. Ostatnie partie stromym kuluarem pokonywali bardzo wolno. Uzbrojone w raki buty nie chciały trzymać się podłoża. Wreszcie o godzinie 16.00 stanęli na szczycie. Byli tak niesamowicie zmęczeni, że nawet nie pogratulowali sobie sukcesu. A przecież zdobyli Annapurnę. W dodatku pierwsi w świecie uczynili to zimą.

W dwie godziny później zapadł zmrok. Śnieg padał coraz gęstszy, a oni dopiero o 22 dotarli do obozu piątego. W czasie zejścia wciąż myśleli o namiocie, czy znajdą go w tym „białym piekle". Na szczęście udało się i po odkopaniu go w wilgotnych śpiworach spali aż do rana. Następnego dnia zeszli do bazy. W 15 minut później w promieniach zachodzącego słońca uwiecznił na kliszy zimowych zdobywców Annapurny Krzysztof Wielicki.

Wielokrotnie pisaliśmy o Jerzym Kukuczce. Ale kto to jest Artur Hajzer, drugi zdobywca Annapurny?

Ma 24 lata. Jest najmłodszy w Polsce i jedyny z najmłodszych na świecie himalaistów o tak imponującym dorobku (m.in. dwa „ośmiotysięczniki") Jako 17-latek i uczeń III Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Katowicach był uczestnikiem wyprawy Harcerskiego Klubu Taternickiego na Spitsbergen. Później była matura i nagroda ministra oświaty i wychowania za pracę pisemną z języka polskiego pt. „Impresje tatrzańskie w filmie". U progu dojrzałości w 1983 roku zdobył swój pierwszy wysoki „siedmiotysięcznik" – Tirich Mir (7 706 m n.p.m.) W Himalajach zaczął się wspinać w 1985 roku. – Byłem o krok od zdobycia „zaklętej" południowej ściany Lhotse i Kangczendzongi, ale dopiero Manaslu i Annapurna dały mi prawdziwą satysfakcję. Ja również chciałbym zdobyć 14 najwyższych szczytów Ziemi...

Przed wyjazdem na Annapurnę „Słoń" – taki przydomek nosi Artur w swoim macierzystym Harcerskim Klubie Taternickim, którego członkiem jest od 12 lat – musiał zdać trzy egzaminy i uzyskać 16 zaliczeń w indeksie studenta IV roku filmoznawstwa wydziału filologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Artur Hajzer będzie towarzyszył Jerzemu Kukuczce w zdobywaniu Shisha Pangmy, z czego obaj są bardzo zadowoleni.

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW

fot. **Artur Hajzer i Krzysztof Wielicki**

1

2

3

Na zdjęciach:

1. ANNAPURNA. Rekonesans opodal bazy

2. Klarowanie lin poręczowych przed wyjściem na wspinaczkę przez Jerzego Kukuczkę (z lewej) i Artura Hajzera (z prawej)

3. Wyjście z obozu IV – 6 800 m n.p.m. Przed namiotem kierownik wyprawy – Jerzy Kukuczka

OSTATNIA DESKA RATUNKU

Sytuacja pierwsza. Chłopak jest przekonany, że nauczyciel geografii chce mu za wszelką cenę udowodnić, iż nie zasługuje na piątkę z jego przedmiotu. Chociaż ze wszystkich innych ma tylko takie oceny. „Odpuszcza" więc na razie te inne – to znaczy ogranicza się do uważania na lekcjach, przeglądania notatek i odrabiania prac domowych – aby cały zaoszczędzony czas móc poświęcić geografii. Po nocach nawet nad nią ślęczy. Lecz podczas odpowiedzi wystarczy jedno pytanie „ukochanego" nauczyciela, ba, jedno jego ironiczne spojrzenie, by zupełnie zbić delikwenta z pantałyku. Wymarzona piątka w dalszym ciągu jest nieosiągalna.

Powie ktoś, że to bzdury. Uczeń i nauczyciel to przecież nie dwaj zmagający się ze sobą przeciwnicy. Nauczyciel ma wręcz obowiązek nie tylko pomagania w zdobywaniu wiedzy, ale też i nagradzania później tymi upragnionymi dobrymi stopniami. A jednak bywa różnie.

Chłopak nie może liczyć na poparcie domu. Matka jest akurat nauczycielką w tej samej szkole i zawsze trzyma stronę kolegów-profesorów. Ponadto stale ma do syna pretensje, że za mało się stara, za mało przykłada do nauki. Ta nieszczęsna piątka, jest, jej zdaniem, prawie obowiązkiem nauczycielskiego syna, jej brak zaś – czymś wręcz niedopuszczalnym.

A klasa? Koledzy nie przepadają za najlepszym uczniem. A zresztą mają świetną zabawę, wręcz kibicują poszczególnym stronom tego „pojedynku".

Chłopak pisze do redakcji. Przyjeżdża dziennikarz. I już na wstępie, słyszy z ust nauczyciela geografii pytanie: – *Czy jest pani pewna, że on napisał, sam z siebie, przez nikogo nie inspirowany?*

Sytuacja druga. Cała klasa ucieka z lekcji. I zostaje przykładnie ukarana. Tyle że uczniowie uważają, iż kara jest niewspółmierna do winy: obniżone stopnie i z zachowania, i z przedmiotu, z którego zwiali; nadprogramowa, poświęcona incydentowi wywiadówka, a po niej odpowiednie potraktowanie ich przez rodziców; nadprogramowe (za karę!) prace społeczne. Kilkoro wysyła list do redakcji z prośbą o interwencję.

– *Kto do was napisał?!* – wypytuje natarczywie dyrektorka szkoły. – *Proszę o podanie nazwisk. Oni musieli zostać do tego namówieni przez kogoś z dorosłych, nieprzychylnych szkole.*

Sytuacja trzecia. W rodzinie przybywa młodsze dziecko. Starsza siostra od tej chwili uważa się za odsuniętą przez matkę na bok. Czuje się niekochana, a więc i absolutnie zagrożona. Matka bagatelizuje sprawę. Przecież jej dorosła (12 lat!) córka jest chyba na tyle mądra, żeby nie wierzyć w takie głupstwa. Teoretycznie pewnie i ma rację. Tymczasem zazdrość i rozpacz „dorosłej" stale się potęgują.

Koleżankom, nawet tym najbliższym, za nic nie wolno się przyznać do tego, że matka nie kocha. Trudno też rozmawiać o tym z ojcem, skoro do tej pory właściwie nigdy o niczym się z nim nie rozmawiało, bo ani nie miał czasu, ani nie wykazywał takiej ochoty. Więc któregoś wieczoru, kiedy jest już tak źle, że gorzej chyba być nie może, między spłukiwaniem pieluch a zadaniem z matematyki, nadaje się do redakcji sygnał SOS: – Pomóżcie, bo chyba odbiorę sobie życie!

Przybywa redaktorka, nieco przerażona, kombinując, jak się tu zachować, żeby broń Boże nie pogorszyć sytuacji, a porozumieć się jakoś i z dziewczyną, i z jej matką.

– *Ona tego sama nie napisała, musiały ją namówić jakieś głupie koleżanki. A może i mój mąż, bo on ostatnio tak się zachowuje, jakby już sam nie wiedział, czego ode mnie wymagać* – słyszy zdumiona z ust dorosłej (już bez cudzysłowu) kobiety, matki dwojga dzieci.

Jakże często kochani dorośli, odpowiedzialni za trudną sytuację mniejszego lub trochę większego człowieka w szkolnym bądź rodzinnym światku, bronią się przed dopuszczeniem do siebie smutnej prawdy: jest mu aż tak źle, że odważył się napisać z prośbą o pomoc do obcych ludzi. I to jeszcze do gazety! Skąd u niego taki pomysł?! Łatwiej wierzyć, że ktoś go namówił, zainspirował, podpuścił; niż uznać, że zawiodło się samemu i to na całej linii. Podczas kiedy już choćby z racji miłości, jaką zapewne wobec swego dziecka czują, lub funkcji, jaką pełnią, i tego, że są przy nim najbliżej, oni właśnie powinni być pierwszymi, do których się zwróci.

Nieraz sami jesteście tego świadomi, ale z różnych powodów boicie się: zapytać wprost, wyrazić wprost swoją niezgodę, wysunąć własne zarzuty, poprosić. Na ogół naprawdę warto przemóc ten strach. Może się bowiem okazać, że wcale ten diabeł nie taki straszny. Ale jeśli się nie uda...

Macie nas. I dobrze.

EWA KOSIŃSKA

Mr Holmes dziękuje za pamięć, ale jest bardzo zajęty...

LONDYN (PAP). Uroczysty obiad w brytyjskiej Izbie Gmin z udziałem 180 członków Towarzystwa im. Sherlocka Holmesa zainaugurował międzynarodowe obchody 100-lecia narodzin niezrównanego detektywa-amatora, którego przygody bawią miliony czytelników na całym świecie. Honorowym gościem przyjęcia była Dana Jean Conan Doyle, córka twórcy Sherlocka Holmesa – Sir Arthura Conan Doyle'a.

Począwszy od ukazania się w 1887 r. pierwszego opowiadania pt. „Study of Scarlet", Conan Doyle ciągnął na życzenie czytelników wątek przygód Holmesa i jego przyjaciela doktora Watsona w długim cyklu opowieści, które w przyszłości miały zainspirować twórców ok. 200 filmów i widowisk telewizyjnych oraz 40 sztuk teatralnych! Według oświadczenia kapitana Williama Michelle, sekretarza brytyjskiego Towarzystwa Sherlocka Holmesa, pod adresem wiktoriańskiego detektywa-dżentelmena nadchodzą nieustannie setki listów, zawierających prośby o wytropienie różnych przestępstw. Wszystkie przesyłki nawet z tak odległych krajów, jak Papua-Nowa Gwinea, zostają przekazane do siedziby Abbey National Building – towarzystwa bankowego przy Baker Street nr 221 B, gdzie odpowiada na nie „sekretarka Sherlocka Holmesa", Sue Brown opatrując je standardowym wstępem: „Mr Holmes dziękuje za pamięć, w tej chwili jednak znajduje się na wypoczynku wraz z dr. Watsonem, – względnie jest bardzo zajęty" itp. Rocznicowe „obchody" trwają również w Stanach Zjednoczonych, Japonii, Australii i innych krajach. Wielbiciele Holmesa planują zorganizowanie wyprawy do Szwajcarii i odegranie – przy zachowaniu maksymalnego autentyzmu – sceny walki Holmesa z jego śmiertelnym wrogiem, diabolicznym prof. Moriartym. Widowisko ma być połączone z wmurowaniem kamienia węgielnego pod budowę muzeum Sherlocka Holmesa u stóp wodospadu, gdzie toczyła się walka. Conan Doyle, zmęczony nieustannym powielaniem przygód swego bohatera, postanowił, jak wiadomo, „uśmiercić" Holmesa, jednak po upływie 3 lat, zachęcony dochodową ofertą nowojorskiego magazynu wydawniczego, „wskrzesił" detektywa. Twórca Holmesa twierdził, że pierwowzorem tej postaci był dr Joseph Bell, lekarz z Edynburga, który odgadywał profesję swych pacjentów z ich wyglądu i obserwacji zachowania. Doyle u niego „terminował" jako student Szkoły Medycyny. Natomiast Graham Nown, szkocki historyk i socjolog uważa, że modelem Holmesa był Irlandczyk, James McLevy z policji w Edynburgu, słynny z rozwiązywania skomplikowanych zagadek kryminalnych. Nown, autor kilkunastu książek, odkrył pamiętnik McLevy'ego w archiwach biblioteki w Edynburgu, z którymi – jak twierdzi – musiał również zetknąć się Conan Doyle.

Książki Doyle'a doczekały się 150 milionów wydań, tłumaczone są na 50 języków, zaś w 18 krajach wyprodukowano filmy telewizyjne oparte na przygodach wspaniałego detektywa. My je także znamy...

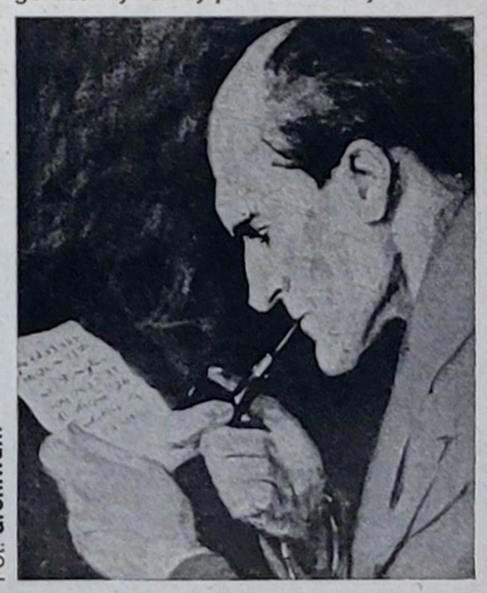

Fot. **archiwum**

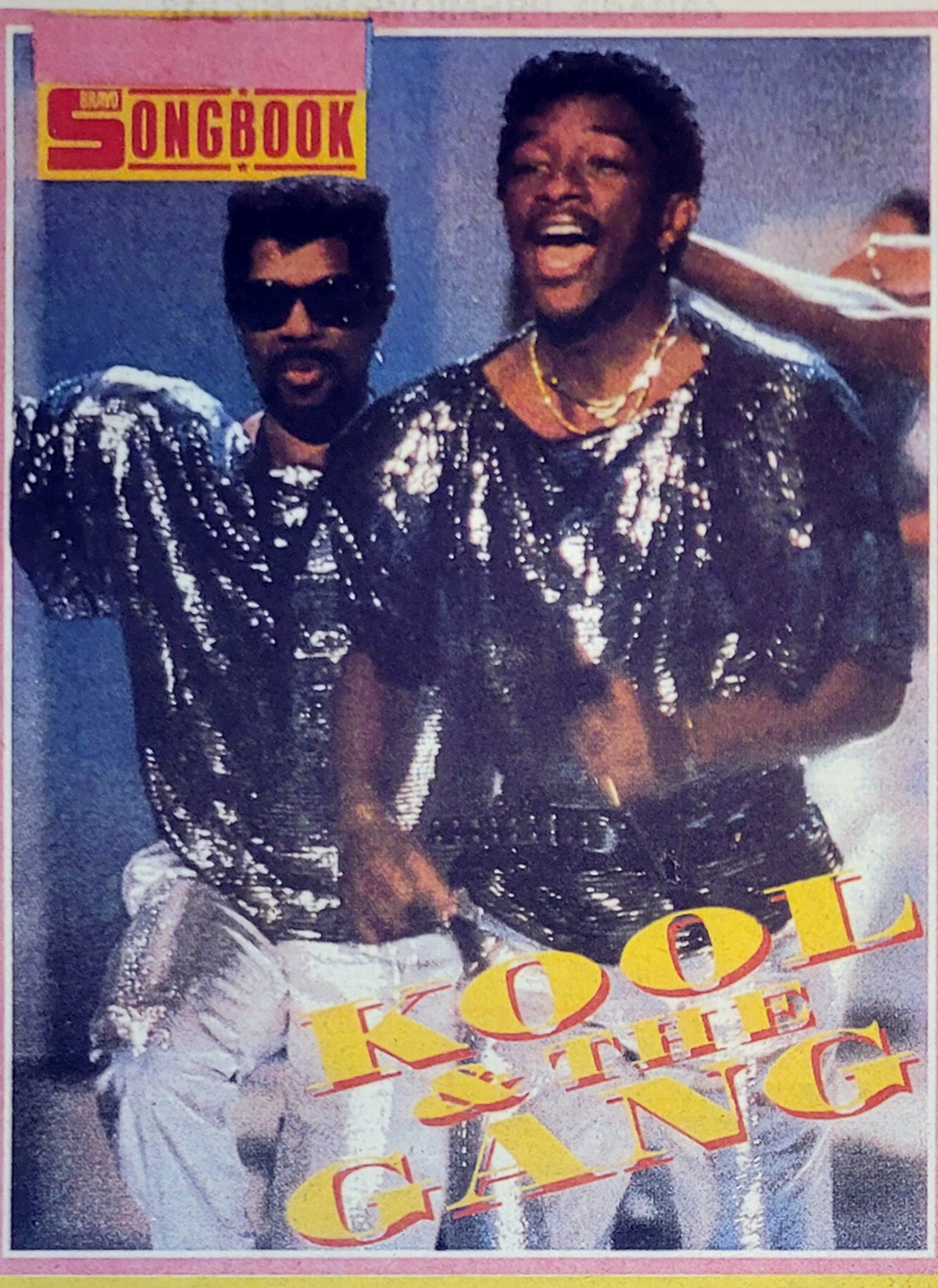

VICTORY

People get ready it's time to show
What you got
Players take your places it's only
One way to the top
You must feel that victory release that
Energy and ride like
The wind
With fire in your eyes shake those
Butterflies and do the best
You can
Victory, victory, let the party begin
Victory, victory let's
Do it again

You are the best, you seem to stand
Out from the rest
Your intentions to be more than a
Honorable mention
You must feel that victory, release that
Energy and ride like
The wind
Fire in your eyes shake those
Butterflies, go ahead and go
For the win now
Victory, victory,let the party begin
Victory, victory ev'rybody can win

Cause it's same way in life –
Same way in life
Inside the tunnel see the light – see
The light
The perfect balance you must find,
It's the same way in life
Victory, victory, victory

Victory – sweet – oo – victory – sweet
Victory – sweet – can you feel it?
Victory – sweet, so sweet, so sweet

There's only one way to the top if
You really want it
You can never stop pushin for the
Victory – go ahead
Players take your places – go ahead
Feel that victory, release that energy
So sweet to the top – go ahead, go ahead
Players take your places to the top
Victory!

Zdając sobie sprawę z ogromu zajęć jakimi obarczeni są codziennie członkowie kolegium redakcyjnego, postaram się krótko przedstawić Wam swoje trzy prośby.

Niezmiernie zainteresowała mnie sprawa występów w Polsce wspaniałego greckiego pianisty, 17-letniego Dimitrisa Sgourosa. Mimo iż swoją wirtuozerią zachwycił miliony melomanów na świecie, nie znalazł jakoś uznania u redaktorów polskich czasopism. Wnioskuję to z tego, że jedynie „Życie Warszawy" zamieściło na 1 stronie wywiad z tym artystą. Dużo mówi się o nas, ludziach młodych, że jesteśmy „głusi" i pozbawieni muzycznego gustu. Moim zdaniem jest w tym twierdzeniu dużo słuszności, ale nie można pozostać w tej sytuacji biernym. Uważam, że właśnie wizyta greckiego pianisty powinna być wykorzystana w celu popularyzacji muzyki klasycznej. Nieprawdą jest zarzucenie wszystkim nastolatkom popierania muzycznego kiczu, bo ja również mam 17 lat i chętniej słucham Pendereckiego niż „Modern Talking". Sprawa polega jedynie na tym, by we właściwy sposób spopularyzować muzykę poważną właśnie przez ukazywanie muzycznych geniuszy typu Sgourosa, ludzi fascynujących i ciekawych.

Anna Biłgoraj

P.S. Wydrukowaliśmy tylko fragment interesującego listu Ani Biłgoraj, za który jej dziękujemy. Korzystamy z okazji by przypomnieć, że i w Świecie Muzyki znalazł się wywiad z Dimitrisem Sgourosem.

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW
Redaguje LECH NOWICKI

XI OMPP
Jak zwykle – we Wrocławiu

W dniach **od 24 do 30 kwietnia,** we Wrocławiu, poprzedzony wielostopniowymi eliminacjami, odbędzie się finał OGÓLNOPOLSKIEGO MŁODZIEŻOWEGO PRZEGLĄDU PIOSENKI. Ta największa impreza ogólnopolska z udziałem muzykujących amatorów inauguruje „sezon festiwalowy", choć festiwalem w istocie nie jest. To przegląd dorobku ruchu amatorskiego, dokonań uzdolnionej muzycznie młodzieży i jej opiekunów. Formuła programowo-artystyczna OMPP jest uniwersalna, stąd związane z jej realizacją ogromne oczekiwania i ... nieporozumienia.

Związkowi Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, głównemu organizatorowi OMPP, zależy przede wszystkim na rozśpiewaniu młodzieży, dopiero potem na zauważeniu i promocji obiecujących solistów i zespołów. Upowszechniający i edukacyjny charakter OMPP stanowi o jego sile. Także różność form amatorskiego muzykowania.

Tegoroczny, XI Ogólnopolski Młodzieżowy Przegląd Piosenki jego realizatorzy pragną zorganizować i przeprowadzić SKROMNIE! SPRAWNIE! SOLIDNIE!

Skromnie: bez festiwalowego zadęcia i szpanu. Rzetelnie. Z poczuciem odpowiedzialności – przede wszystkim wobec młodych uczestników imprezy.

Sprawnie: oczywiście pod względem organizacyjnym – ale nie tylko. Także artystycznym. Ze szczególnym zwróceniem uwagi na część warsztatową, która jak zwykle potrwa (tylko) trzy dni i służyć będzie jak najlepszemu przygotowaniu programu konkursowego. Zajęcia warsztatowe poprowadzą znani muzycy, autorzy tekstów i pedagodzy. Zakończy je wnikliwa analiza i ocena wszystkich uczestników finału. Najlepsi z najlepszych zostaną dopuszczeni do części konkursowej...

Solidnie: to znaczy profesjonalnie i atrakcyjnie. Dwa koncerty konkursowe w Wojewódzkim Domu Kultury, koncerty towarzyszące w Piwnicy Świdnickiej (ubiegłorocznych laureatów), recitale laureatów Przeglądu Piosenki Aktorskiej i Festiwalu Jazz nad Odrą, koncert finałowy w Teatrze Polskim – to tylko najważniejsze punkty programu spotkania finałowego.

Trochę danych: w eliminacjach bierze udział ponad 5 tys. młodych wykonawców. Mniej więcej połowa dociera do eliminacji międzywojewódzkich, które w tym roku odbywają się w Choszcznie, Elblągu (debiut), Łodzi, Łomży (debiut) Katowicach i Mielcu, około 35 solistów, zespołów wokalnych wokalno-instrumentalnych i Klubów Piosenki do finału we Wrocławiu. Pracuje z nimi pięcioosobowe kierownictwo programowo-artystyczne, dziesięciu konsultantów muzycznych i literackich. Soliści, zespoły wokalne i wokalno-instrumentalne prezentują po dwie polskie piosenki, Kluby Piosenki 30 minutowe programy muzyczno-literackie, muzyczno-plastyczne itd. Uczestników konkursu ocenia jury złożone z wybitnych kompozytorów, aranżerów, autorów tekstów, instrumentalistów, wokalistów, dziennikarzy muzycznych.

Personalia: XI Ogólnopolski Młodzieżowy Przegląd Piosenki przygotowują: Jacek Skubikowski – kierownictwo muzyczne, Małgorzata Maliszewska – kierownictwo literackie, Marek Grabowski – scenografia, Mariusz Malinowski – reżyseria. Pomagają m.in. dr Ewa Mentel z Akademii Muzycznej w Katowicach, doc. Krzysztof Heering z Akademii Muzycznej w Warszawie, Jacek Wenzel z Ośrodka TV we Wrocławiu. Jury przewodniczy Wojciech Trzciński, koncerty konkursowe poprowadzi Marek Niedźwiecki.

Do zobaczenia we Wrocławiu!

Ubiegłoroczni laureaci – zespół Tranz Foo Foo

Fot. **M. Karewicz**

GRAM...

... to nasz cykl, w którym przedstawiamy tych z Was, którzy grają na jakimś instrumencie, przede wszystkim uczniów szkół muzycznych – ale nie tylko. Także samouków!

Piszcie więc do nas i koniecznie dołączajcie zdjęcia, najlepiej przy instrumencie...

Dziś grająca MAŁGORZATA TYLIŃSKA z miejscowości Obra i... zaległe zdjęcie ANI MISIAK, którą niedawno poznaliście.

Nazywam się Małgorzata Tylińska, *mam 15 lat i chodzę do VIII klasy szkoły podstawowej.*

Lubię dużo grać na pianinie. Grać na tym instrumencie nauczyłam się sama. Po prostu w szkole, na lekcjach wychowania muzycznego poznałam nuty i nauczyłam się je czytać. Reszta – to było łatwe. Wystarczyło nauczyć się grać podstawową gamę i to wszystko. Niestety nie mam pianina w domu. Jest ono u mojej babci i tam gram. Moim ulubionym utworem są: „Fale Dunaju" i „Marsz turecki".

Lubię także grać muzykę rozrywkową – różne przeboje, ale trudno zdobyć nuty tych piosenek. Bardzo mnie ucieszyły nuty piosenki Papa Dance pt.: „Ocean wspomnień".

Z muzyki poważnej najbardziej lubię Mozarta, a z rozrywkowej – Modern Talking i Shakin' Stevensa. Ciekawostką jest, że urodziłam się w tym samym dniu, co Shakin tylko dużo później.

Debiutowałam już na estradzie, na różnych przeglądach i występach. Niestety nie grając, lecz tańcząc i śpiewając razem z Dziecięcym Zespołem Artystycznym „Promyczki", który działa przy naszej szkole. Bardzo lubię ten zespół.

Małgorzata Tylińska

KURA POD OCHRONĄ, TO NIE PRIMA-APRILIS

DOKOŃCZENIE ZE STR.3

I TU JESZCZE NA CHWILĘ WRACAMY DO ORŁÓW

a także do rezerwatów przyrody. Bowiem idea rezerwy genetycznej – mająca, jak widać, w drobiarstwie czysto praktyczną wartość – znajduje swe odbicie także w ochronie dzikiej flory i fauny...

Nieraz ludzie pytają: po licho chronić jakiegoś tam rycyka? Jakiegoś pazia królowej – takiego sobie motylka? Jakiegoś dziewięćsiła, orzech wodny czy inne „paskudztwo?" Badacze odpowiadają: m.in. dlatego je chronimy, bo każdy organizm stanowi niepowtarzalny zespół cech, zakodowanych genetycznie. Niszcząc gatunki, bezpowrotnie zubożamy ten skarbiec genów, a przecież niewykluczone, że moglibyśmy kiedyś z niego skorzystać. Dla stworzenia nowych ras czy rodów roślin i zwierząt, które mogłyby się dla nas okazać pożyteczne.

Toteż w miarę możliwości pozostawia się dziś obszary, gdzie rośnie, pełza, fruwa czy biega naturalna rezerwa genetyczna dziko żyjącej flory i fauny. Te obszary zwą się rezerwatami; tu pojęcia „rezerwa" i rezerwat" pozostają w ścisłym związku. Te chronione obszary nazywają też biolodzy bankami genów. To jedne z najcenniejszych banków, z jakimi w ogóle człowiek miewa do czynienia...

TOMASZ KŁOSOWSKI

Tajemnice jaskiń Yarimburgaz

(PAP). Jaskinie Yarimburgaz, znane archeologom od prawie 100 lat, uznane zostały za kompleks najstarszych osiedli ludzkich poza Afryką. Według specjalistów z Uniwersytetu w Stambule, istnieją dane, że osiedle liczy co najmniej 1 mln lat, zaś dalsze badania prawdopodobnie dowiodą, że jest ono jeszcze starsze. W Yarimburgaz odkryto ruiny budowli z okresu cesarstwa rzymskiego i bizantyjskiego, malowidła skalne oraz ślady kultury sprzed 7 tys. lat. Znajdują się tam liczne fragmenty kości, kamiennych narzędzi, wyrobów garncarskich oraz paleniska z próbkami popiołów... Na odnalezionych fragmentach narzędzi wykryto ślady krwi, zaś dalsze badania w tym zakresie powierzone zostały specjalistycznym laboratoriom w USA. Do tej pory najwcześniejsze ślady krwi odnaleziono w północnym Iraku. Przy czym ich wiek określony został na ok. 100 tys. lat.

UŚMIECH NUMERU

CHWALI SIĘ Mądrala Iksińskiemu:

– Kiedy byłem na wakacjach, złapałem w potoku takiego pstrąga, jak moja ręka!

– To chyba niemożliwe – powątpiewa Iksiński – przecież nie ma aż tak brudnych pstrągów...

★

– ILE MASZ lat? – pyta koleżanka Mądralównę.

– Trzynaście...

– Coś ty?! W zeszłym roku miałaś przecież dopiero sześć!

– No właśnie: w zeszłym roku sześć, w tym roku siedem, to akurat trzynaście!

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Nasz sobotni kącik uniwersalnych łamigłówek, zadań i logicznych zagadek – gwarantuje gimnastykę umysłu, relaks i rozrywkę! Co tydzień – nowa porcja. A więc – do przyszłej soboty!

BEN AKIBA – gospodarz Abrakadabry

TEATR CIENI ABRAKADABRY

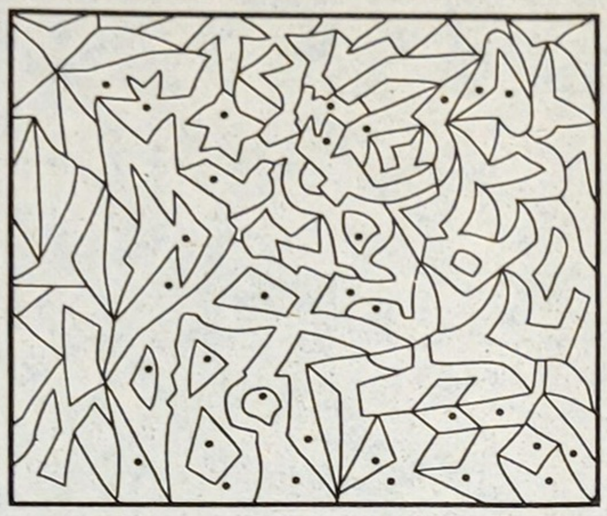

Popatrz na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem w jedną całość te wszystkie jego fragmenty, które oznaczono kropkami. Czy układają ci się już w jakiś obraz – wizję? Teraz weź ołówek lub mazak i starannie zamaluj te zakropkowane obszary. Rozwiązanie otrzymasz natychmiast, bo na tym polega nasz teatr cieni.

27 PUNKTÓW

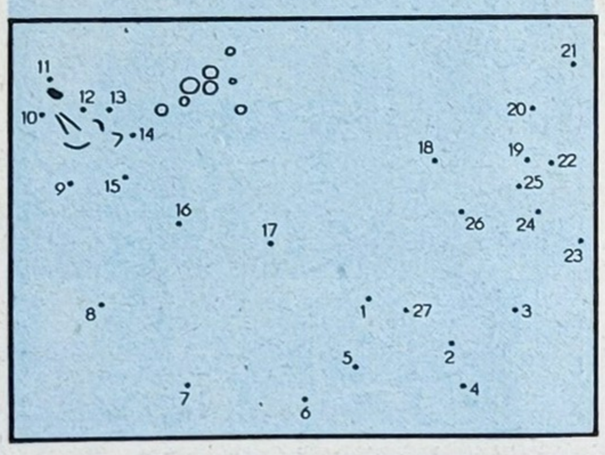

Jeśli już rozwiązałeś pozostałe łamigłówki dzisiejszego wydania Abrakadabry, mam dla ciebie nagrodę. Wyczarujesz ją sobie sam, jeśli starannie połączysz ołówkiem kolejne punkty od 1 do 27. Łącz liniami prostymi, powoli i uważnie!

ZADANIE PREMIOWANE NR 618
KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

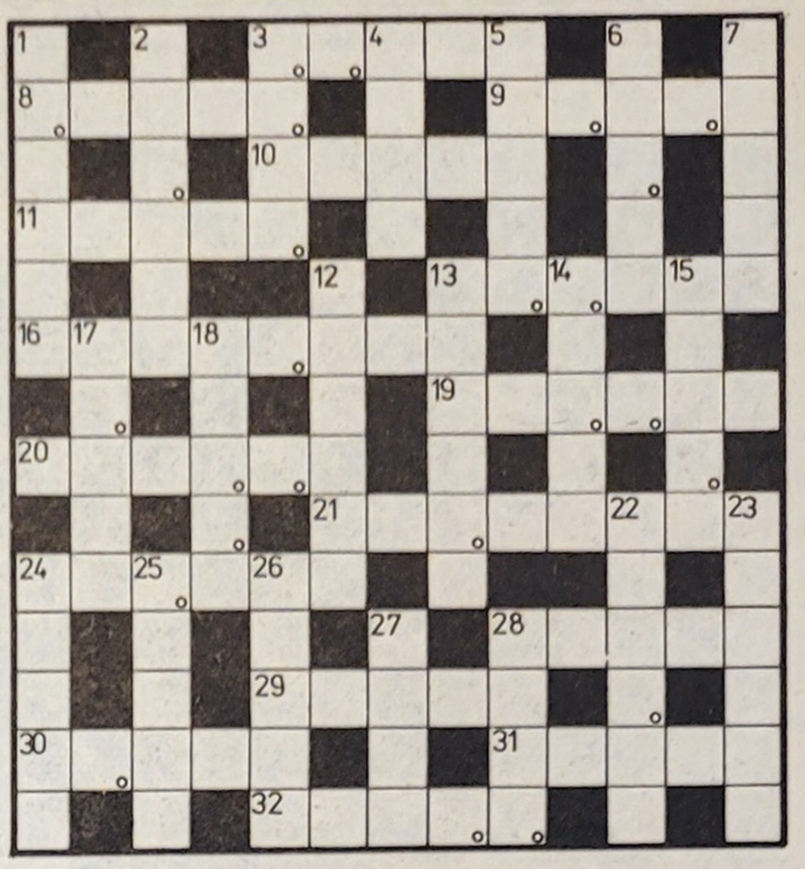

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z kratek oznaczonych kółkami, czytane kolejno rzędami poziomymi, utworzą rozwiązanie zadania – myśl Plutarcha. Rozwiązanie to prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 618".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 3) osadzony jest na nim kapelusz grzyba, 8) jęczmień lub pszenica, 9) „Hołd Pruski" Matejki, 10) gwizd, 11) gniew, 13) torbacz australijski, 16) reguła, norma 19) nie porywaj się z nią na słońce, 20) część wagi aptecznej, 21) przegroda między przedsionkiem a komorą serca, 24) uchwalana przez Sejm, 28) potrzebne do mycia, 29) namiot pasterzy mongolskich, 30) koi nerwy, 31) drzewo owocowe, 32) osad z sadzy.

PIONOWO: 1) plemię, 2) wielki pożar, 3) ojciec żony, 4) bandyta, opryszek, 5) krótka wzmianka w gazecie, 6) cząstka wody rozpryskująca się od uderzenia, 7) szelest, 12) wstręt, obrzydzenie, 13) ... biała nazywana jest lebiodą, 14) tańcowała z igłą, 15) szybkie odskoczenie, 17) małpa wąskonosa z grupy koczkodanów, 18) prawy dopływ Niemna, przepływający przez Wilno, 22) znak zodiaku, 23) miły zapach, 24) jezdnia i chodniki, 25) szlak, 26) Szwejk z powieści Haszka, 27) ślad zwierzyny, 28) barwa sierści u zwierząt.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 612 z 25 numeru „Świata Młodych" z dnia 28.02.1987 r.

Serce i rozum nie para (koszula, niesmak, weranda, machina, szelest, dziupla, wariant, program, rozpacz). Nagrody wylosowali:

Natalia Bednarska – Włocławek, Bożena Błaut – Karniowice, Katarzyna Kubik – Trzebinia, Małgorzata Pawełek – Lewin Brzeski, Marzena Prus – Przewodowo, Piotr Skowroński – Łuków, Wiesław Skrzypek – Gdynia, Irena Tuśnio – Wiśniewo, Grzegorz Ulak – Rzeszów, Adam Zawadzki – Jastrzębie-Zdrój.

Labirynt z wodospadem

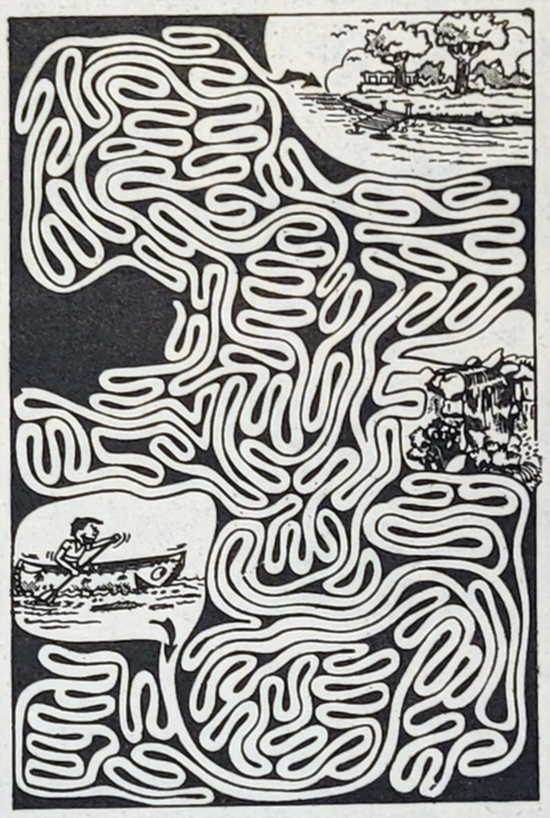

Oto zawodnik w indiańskim canoe. Musi dopłynąć do przystani w prawym górnym rogu. Droga jest bardzo kręta, bo rzeka wije się w górskim kanionie. W dodatku po drodze jest wodospad, który zawodnik musi bezwzględnie ominąć. Pomóż mu bezbłędnie dotrzeć do celu!

ZADANIE-BŁYSKAWICA

Bez pomocy papieru, ołówka i kalkulatora odpowiedz szybko na pytanie: jeden metr kwadratowy – jaka to część hektara?

CO TO JEST

Co to jest PACYNKA? Tylko jedna z trzech poniższych odpowiedzi jest prawdziwa:

a) stop cennej platyny i mniej cennego cynku,

b) lalka teatralna nakładana na dłoń i poruszana palcami,

c) narzędzie murarskie służące do tynkowania.

TAJEMNICZE DZIAŁANIA

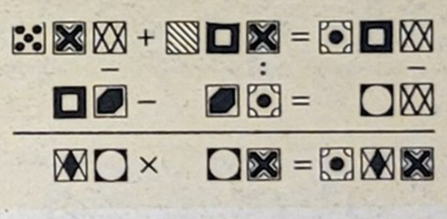

W tym układzie rysuneczków zaszyfrowane są matematyczne działania na liczbach. Każdy rysuneczek to jedna cyfra. Powtarzające się w tym układzie takie same rysuneczki oznaczają powtarzające się takie same cyfry. Działania wykonujemy zgodnie z ich znakami zarówno w kierunku poziomym, jak i pionowym. Start!

Choć był jeszcze luty i na szczytach bielał śnieg, powietrze pachniało już zapowiedzianą wiosną. Choć mroźny podmuch raz po raz przelatywał górskim wąwozem, przycupnięte w skalnych szczelinach krzewy wyciągały do słońca kruche gałązki w oczekiwaniu na odnowę życia.

Anto zabrał ze sobą list księcia i odczytał go siedząc na powalonym głazie, otoczony pustką i ciszą. I nagle na tle mostowego filaru zobaczył Lu tak wyraźnie, jak gdyby przyjaciel stał rzeczywiście oparty o kamienny pilaster.* Anto wpatrzył się w zjawę wywołaną jego wyobraźnią i z przerażeniem ujrzał, że książę brocz krwią, a w jego piersi tkwi długi dziryt. ** Widzenie było tak realne, czerwona krew zdawała się spływać na zalegające podnóże filaru kamyki, że Anto zerwał się drżący i oblany potem.

– Nie! – krzyknął wyciągając ręce. – Nie! Nie! – I opadły z sił, kompletnie wyczerpany, runął na kamienistą ziemię, czując, że dzieje się z nim coś strasznego, podobnie jak w owym dniu, gdy obchodzono pełnoletność księcia.

Nie wiedział jak długo leżał. Gdy ocknął się, był jak gdyby pusty wewnętrznie, zupełnie jak ciało pozbawione duszy. Wstał z trudem i z trudem zawlókł się do swojej kwatery.

– Konia – rzucił żołnierzowi, który z ciekawością przyglądał się „panu porucznikowi". – Prędzej! Co tak stoisz?

– Bo pan porucznik... – zaczął żołnierz.

– Osiodłaj konia! – krzyknął ostatnim wysiłkiem dobywając głosu.

Nie wiedział, jak dotarł do Peyrehorade, chyba koń sam dostawił jeźdźca na miejsce. Na szczęście kapitan Merlé był w tak zwanej „knacelarii".

– Panie kapitanie – usiłował sprężyć się służbiście. – Proszę o urlop.

– O urlop? – zdziwił się kapitan. – Co się stało?

– Otrzymałem wiadomość – dotknął kieszeni, gdzie spoczywał fatalny list. – Sprawa najwyższej dla mnie wagi.

– Sprawa najwyższej wagi – powtórzył kapitan Merlé, zagorzały zwolennik żelaznej dyscypliny. – I cóż to za sprawa? – nie spuszczał oczu z bladej twarzy młodego człowieka.

– Osobista... – Anto oddychał z trudem. – Proszę, panie kapitanie, bardzo proszę. Jeżeli pan mi odmówi, jestem gotów na wszystko. Nawet... na dezercję, wyrzucił w nagłym porywie rozpaczy.

– Na dezercję? – Kapitan Merlé podniósł się z krzesła. – Poruczniku Ordęga, co się panu stało?

– Nie wiem. Ale stanie się coś strasznego, jeśli natychmiast nie wyjadę.

Kapitan Merlé przyjrzał się uważnie swojemu podwładnemu. Chwilę milczał.

– Z uwagi na pańską dotychczasową służbę bez zarzutu – powiedział wreszcie z namaszczeniem – z uwagi na sumienność w wykonywaniu obowiązków – zawiesił głos – udzielam panu dwutygodniowego urlopu.

Nie pamiętał, jak dojechał do Bordeaux. Nie czuł ani głodu, ani zmęczenia. W Bordeaux wsiadł do paryskiego pociągu.

Gdy zjawił się w domu, Zelia, która mu otworzyła, ujrzawszy jego wymizerowaną twarz i nieprzytomne oczy, przeżegnała się głośno.

– Nieszczęście – wydyszał w odpowiedzi na jej przerażone spojrzenie. – Nieszczęście!

– Jakie nieszczęście? – Róża wbiegła do westybulu i na widok brata zatrzymała się jak wryta. – Anto? O czym ty mówisz Anto?

– Lu – zdołał tylko wykrztusić. – Nieszczęście!

– Co z Lu? – chwyciła brata za ramiona. – Mów!

– Widziałem go we krwi... tak samo jak wówczas, w Chislehurst... Cały we krwi... On nie może tam jechać, nie może , to śmierć!

– Nie może – powtórzyła z lękiem – otrzymałam właśnie list od cesarzowej Eugenii. Rozpaczliwy list. Prosi, abyś na niego wpłynął.

Cdn.

---

* Pilaster – element architektoniczny w kształcie płaskiego pionowego występu z lica ściany zaopatrzonego w bazę i głowicę.

** Dziryt – krótka włócznia o niewielkim grocie, dziś spotykana u niektórych plemion afrykańskich.

TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI
PAPCIO CHMIEL
kolorowała ANNA BŁASIK

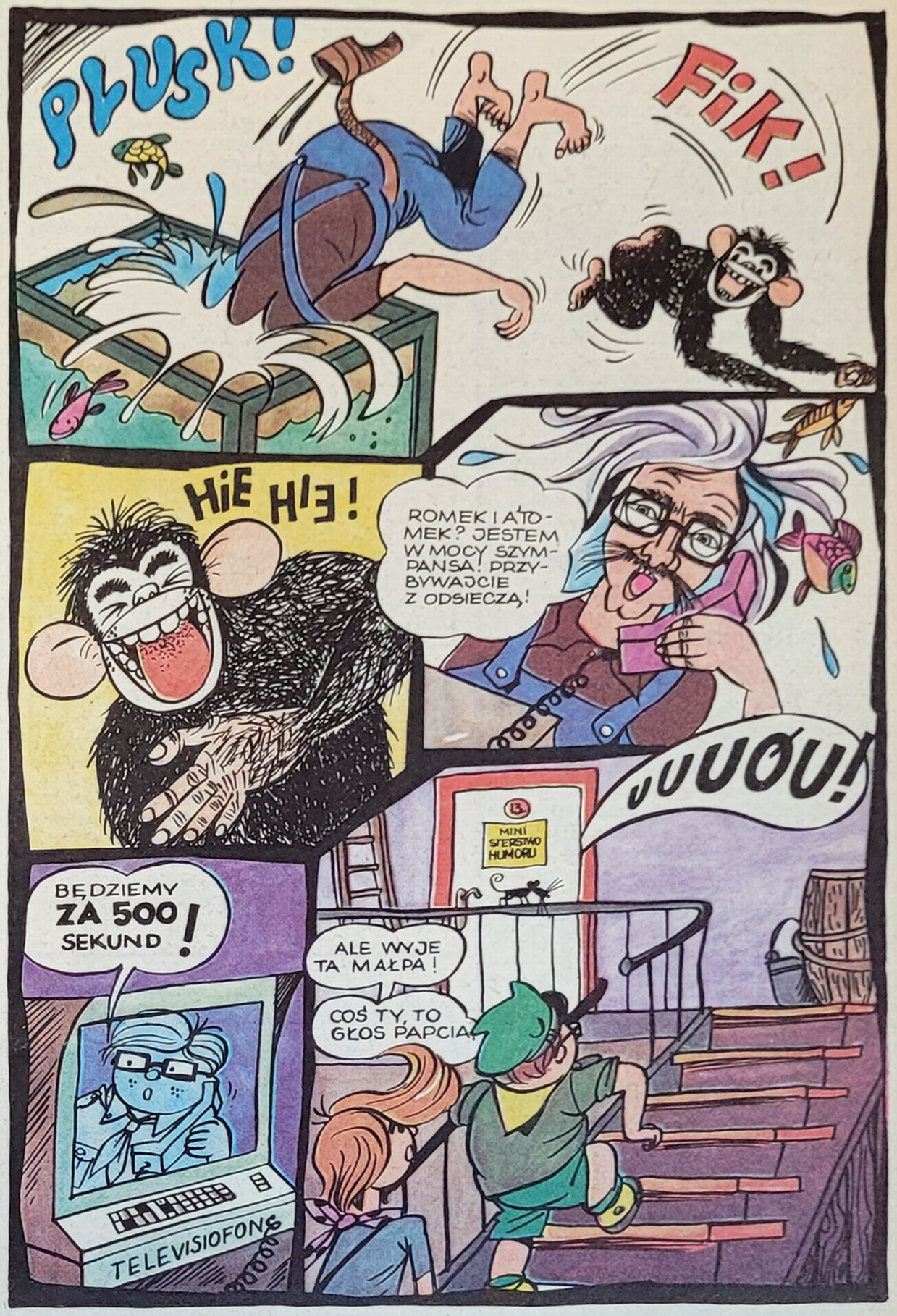

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 43 (4284)
Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00–561 Warszawa ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40–003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Fotoreporterzy (tel. 21-98-28). TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 03–965 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm², 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 03–965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Magda Piotrowska
Opracowanie techniczne: Grażyna Pajorkowska
Korekta: Irena Ochrymowicz
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Okopowa 58/72. Druk. Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego. K-66 Nakład 439 000

NIE ZAPOMNIJ!
OTO
NASZ
POCZTOWY
00-561

Boże, Boże, co robić? Jak nie dopuścić do kroku, który może okazać się nieodwracalny? On, taki młody, a więc nieświadomy niebezpieczeństw na jakie się narazi, nieświadomy czyhających na niego wrogich sił.

Czym go wzruszyć? Jak uprosić, ubłagać, by nie zabijał jej tym postanowieniem?

Widziała, że wszystko będzie daremne, daremne jej łzy i jej rozpacz. Nic go nie ugnie, nie skruszy jego woli, skoro raz postanowił.

Spotkali się na śniadaniu, oboje zmęczeni nocną walką z najdroższym przecież przeciwnikiem.

Wobec domowników nie poruszyli tematu, który palił im wargi. Dopiero gdy wstawszy od stołu cesarzowa Eugenia przeszła do długiej galerii, książę pospieszył za matką i przypuścił szturm.

– Dopóki choć jeden oficer z mojej baterii pozostawał w Anglii – spojrzał jej błagalnie w oczy – mogłem siedzieć spokojnie w domu. Ale skoro wszyscy oprócz mnie wyruszyli do Afryki, honor nie pozwala mi wahać się dłużej. Inaczej nie śmiałbym pokazać się w Aldershot.

– Rozumujesz jak angielski oficer – przerwała. – A Francja? Pomyśl o Francji.

– Przecież wiesz, że z myślą o Francji podjąłem tę decyzję. Chcę, żeby w ojczyźnie poznano kim jestem. Moje imię to jedynie symbol nie dla wszystkich czytelny, a ja sam – istota nieznana. Oprócz niewielkiego grona przyjaciół, dla przeciętnego Francuza jestem cieniem wywołanym z historii. Przywódcy naszego stronnictwa traktują mnie jak dziecko, nikt mnie nie słucha, nie wolno mi mieć własnego zdania. Gdy ułożę przemówienie czy proklamację, stary Rouher przerabia mój tekst na swoje kopyto, nie pytając mnie nawet o zgodę. Jestem dla nich kukłą, którą obracają na wszystkie strony według ich widzimisię.

Jesteś niesprawiedliwy – zaprotestowała. – Zapominasz o niebezpieczeństwie na jakie się narazisz.

– Mężczyzna nie może stronić o niebezpieczeństw – rzucił z pasją. – Przypomnij, mamo, ojca. On też musiał podbić Francję, a zanim to uczynił, życie jego było jednym pasmem niebezpieczeństw i ryzykownych posunięć.

Nie mogła nie przyznać racji jego rozumowaniu. Czyż sama nie powiedziała kiedyś, że w jego żyłach płynie krew Napoleona zmieszana z krwią Don Kichota? Na jego miejscu może i ona postąpiłaby tak samo, zresztą nie wszystko jeszcze było stracone. Uprosi królową Wiktorię, by nie pozwolono mu popłynąć do Afryki.

Lu jednak i tu poczynił już pewne kroki. Owszem, lord Cambridge, minister wojny, do którego skierował odpowiednie pismo, odmówił jego prośbie. Książę nie zrażony, użył wówczas wpływów swoich dawnych zwierzchników z Woolwich oraz autorytetu Księcia Walii. I lord Cambridge musiał ustąpić.

Tymczasem wezwani przez cesarzową Eugenię stawili się w Chislehurst pan Rouher, generał Fleury, Tristan Lambert i ruszyli do ataku. Książę pozostał głuchy na ich perswazje, mimo że stary Rouher nie zawahał się uklęknąć przed młodym człowiekiem, a jego pobrużdżona twarz i wybladłe oczy błagały o litość.

Ludwika Conneau i Anta książę zawiadomił osobiście o swoim zamiarze, a cesarzowa Eugenia w rozpaczliwym liście do Róży zaklinała na wszystkie świętości, by brat wpłynął na jej syna i odwiódł go do szaleńczej decyzji.

List przyjaciela zastał Anta w Orthez, niewielkim miasteczku niezbyt odległym od Peyrehorade. Delegowano tam młodego podporucznika by poczynił pewne pomiary nad średniowiecznym mostem, którego kamienny łuk ze strażniczą wieżą pośrodku wtapiał się malowniczo w górski krajobraz, wyrastając jak gdyby z okolicznych skał, upodobniony do nich barwą i konsystencją granitu.

Dokończenie na str. 7